ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK IX. 42 (434)

NIEDZIELA, 16 PAŹDZIERNIKA 1955 R.

PUNKTY WIDZENIA

GRA POZORÓW

Gdy Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych powzięło uchwałę o zamieszczeniu na porządku swych obrad sprawy Algeru, przewodniczący delegacji francuskiej, p. Pinay, oświadczył, że Alger jest sprawą wewnętrzną Francji i na znak protestu opuścił wraz z delegacją Zgromadzenie. Gdy w czasie obrad genewskich prezydent Eisenhower poruszył w sposób niezbyt zdecydowany zagadnienie państw Europy środkowo-wschodniej opanowanych przez Związek Sowiecki, premier Bułganin odparł, że dyskusja nad tym zagadnieniem byłaby wkraczaniem w sprawy wewnętrzne suwerennych państw, co rząd sowiecki uważa za niedopuszczalne. Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych nie podzieliło zastrzeżeń p. Pinay, prezydent Eisenhower przyjął milcząco oświadczenie Bułganina do wiadomości.

Alger nie był nigdy państwem niepodległym. W początkach XIX stulecia pozostawał pod rządami imperium ottomańskiego, w r. 1830 został opanowany przez Francuzów, podzielony z biegiem czasu, podobnie jak Francja, na departamenty i włączony administracyjnie do Francji metropolitalnej. Jednolitość administracji nie mogła oczywiście zatrzeć różnic rasowych, religijnych, gospodarczych i kulturalnych pomiędzy prymitywną ludnością Algeru a ludnością francuską, niemniej jednak Alger stanowi formalnie część Francji. Ruch niepodległościowo - nacjonalistyczny, jaki ogarnął w latach ostatnich posiadłości francuskie w Afryce północnej, nie ominął też Algeru: w górzystych częściach kraju wybuchają od czasu do czasu rewolty zbuntowanych plemion, tłumione w ciężkich nieraz walkach przez wojska francuskie.

Państwa Europy środkowo-wschodniej mają za sobą stulecia niepodległości i utraciły ją ponownie dopiero przed dziesięciu laty. Nie zostały wszakże włączone formalnie do imperium sowieckiego, pozostawiono im wszelkie zewnętrzne cechy suwerenności: mają własne rzekomo rządy, własne armie, przedstawiciele ich akredytowani są w ogromnej większości państw świata i zasiadają w organizacji Narodów Zjednoczonych. Niemniej jednak między stopniem zależności Algeru od Francji a zależnością Polski od Związku Sowieckiego zachodzą niewielkie tylko różnice. W głosowaniu nad sprawą Algeru 23 członków organizacji Narodów Zjednoczonych (nie licząc krajów bloku sowieckiego) poparło dążenia niepodległościowe nacjonalistów algerskich, choć kraj ten nie ma warunków do niepodległości bądź nawet szerokiej autonomii. Trudno sobie natomiast wyobrazić, aby to samo Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych podjęło uchwałę popierającą dążenie narodu polskiego do odzyskania wolności.

Dlaczego tak się dzieje? Nie można tej obojętności świata na los 100 milionów ludzi przypisać wyłącznie niechęci do zaogniania stosunków z Rosją. Narody Zjednoczone nieraz podejmowały antysowieckie uchwały, a wnioski sowieckie najczęściej nie uzyskiwały w Zgromadzeniu większości. Odgrywa tu w dużej mierze rolę powód inny: zniewalająca siła pozorów.

Związek Sowiecki jest krajem pozorów i fikcji. Jego konstytucja głosi, że „cała władza w ZSSR należy do ludu pracującego miast i wsi w osobie rad delegatów ludu pracującego", lecz ani lud pracujący ani rady, łącznie z Radą Najwyższą czyli parlamentem sowieckim, nie mają w państwie żadnej władzy. Ta sama konstytucja stanowi, że sędziowie sowieccy są niezawiśli i podlegają tylko prawu, tymczasem są oni jedynie narzędziem politycznym w rękach partii. Papierowym gwarancjom praw wolnościowych i socjalnych obywateli ZSSR odpowiadają rządy policyjne i ucisk polityczny. To panowanie fikcji sięga poza granice Związku Sowieckiego i rozciąga się na państwa opanowane, przekształcając w fikcję jeszcze jedno pojęcie wytworzone przez świat cywilizowany: pojęcie suwerenności państwowej.

Można twierdzić, że są to rzeczy znane i że pozory nie mylą już nikogo. Tak jednak nie jest. Nehru oświadczył wszak w Bandungu, że państwa Europy środkowo-wschodniej są państwami suwerennymi, a oświadczenie to podzielają neutraliści różnego autoramentu nie chcący, dla spokoju własnych sumień, dostrzegać rzeczywistości. Zasłona pozorów jest przejrzysta, lecz ujęta w ramy dialektyki komunistycznej, staje się dla niektórych nieprzenikniona.

Państwa wolnego świata odczuwają tu skutki własnego zaślepienia i własnych niekonsekwencji. Gdy ambasador „Polski Ludowej" wręcza swe listy uwierzytelniające królowej Wielkiej Brytanii lub prezydentowi Stanów Zjednoczonych, mocarstwa te godzą się milcząco z uznawaniem fikcji za rzeczywistość. Karta Narodów Zjednoczonych stanowi, że organizacja ta zrzesza swych członków „na podstawie suwerennej równości", lecz już na konferencji w San Francisco w roli państw suwerennych występowały Białoruś i Ukraina sowiecka. Trudno przedstawicielowi niepodległego państwa zgłosić na Zgromadzeniu wniosek o przedyskutowanie sprawy Polski lub Czechosłowacji, gdy obok niego na ławie siedzą ludzie uznawani formalnie za przedstawicieli tych państw, podniesionych w ten sposób z mocy brzmienia Karty, do rangi państw „suwerennych". Przykład sowiecki był widocznie zaraźliwy: państwa wolnego świata zawarły przed dziesięciu laty niepisaną umowę, aby pozory uważać za rzeczywistość. Umowy tej nie broni żadna logika, nawet dialektyczna; u źródła jej leżą oportunizm i chowanie głowy w piasek.

Lecz hołdowanie fikcjom kryje w sobie niebezpieczeństwa dla Zachodu. Świat zachodni, żyjąc w zaczarowanym kręgu pozorów, zatraca ostrość widzenia i przestaje dostrzegać, gdzie się kończy rzeczywistość a zaczyna urojenie. Wystarczyło kilka przyjaznych gestów sowieckich, bankietów, uścisków rąk i uśmiechów, aby zaczęto mówić o możliwości przyjaznego współżycia z obozem komunizmu. Powstała nowa wielka fikcja, przerastająca być może inne wielkością nonsensu: fikcja „ducha Genewy". Nic się nie zmieniło w polityce sowieckiej, została ona wierna swej maniackiej idei opanowania świata, lecz narzuciła na nią ukwieconą zasłonę pozorów. Zasłona jest przejrzysta, lecz wystarczająca, by ukryć przed oczyma milionów niemiłą rzeczywistość.

Wymowa faktów rozpraszała niegdyś fikcje, dziś fikcje są silniejsze od faktów, usiłując uporczywie narzucić swą władzę ludzkości. Kłamstwo, jak anestetyk, znieczula ludzi na fakty. Gigantyczne kłamstwo sowieckie, kłamstwo postępu, demokracji, suwerenności, wielkich słów, za które ginęli niegdyś ludzie na barykadach, omotało świat dusząc go jak ośmiornica w swym śmiercionośnym uścisku. Jest to rodzaj masowej samohypnozy wywołanej poczuciem złudnego bezpieczeństwa; oby przebudzenie nie przyszło za późno.

W wieku XIX nie doceniano znaczenia pozorów i fikcji. Racjonalizm francuski dążył do rozwiązań jasnych i prostolinijnych. Dlatego Alger ze swymi ośmiu milionami koczowniczej ludności budzi współczucie Narodów Zjednoczonych; 25 milionów ludzi w Polsce współczucia nie wywołuje.

L. K.

25-LECIE POŚWIĘCENIA KOŚCIOŁA POLSKIEGO W LONDYNIE

Dnia 12 października 1930 Prymas Polski Ks. Kardynał August Hlond poświęcił Kościół Polski na Devonii w Londynie. Dzieje tej świątyni, nazywanej „Katedrą Polski Walczącej" w czasie ostatniej wojny, są dobrze znane naszym Czytelnikom.

Czytelnicy wiedzą również, że Kościół Polski został gruntownie odnowiony w ciągu ostatnich lat, pokryty nowym dachem i ozdobiony witrażami. Koszty odnowienia pochłonęły duże sumy. Do spłacenia pozostaje jeszcze około £ 2.200.

Do dzisiejszego numeru ŻYCIA dołączamy formularze z gorącą prośbą do naszych Czytelników i Przyjaciół, aby w 25-lecie poświęcenia świątyni polskiej w stolicy Anglii zechcieli przyczynić się choćby skromnym datkiem do ulżenia ciężaru jej zobowiązań.

F. STRZAŁKO

KATEDRA NAD BAZAS

Stanąłem przed oknem mego pokoju i ostatni raz spojrzałem na widok, który oglądałem co dzień, przez cały rok prawie. Nie znużył mnie nigdy. Delektowałem się nim zawsze, ilekroć przyjeżdżałem po pracy, a gdy wracałem po dłuższej podróży, osładzał powrót do monotonii codziennego życia, witany jak coś bliskiego, niemal jak widok rodzinnego miasta.

Dom, w którym mieszkałem, stał na pochyłości, na skrzyżowaniu ulic. Równolegle do mego okna opadała w dół rue St. Antoine. Na jej dolnym końcu, w głębi niedużej dolinki, miasteczko się kończyło. Potem teren się wznosił, ale były to już tylko pola, wśród których tu i ówdzie rozsiadły się sadyby, otoczone drzewami. Nad nimi wschodziło słońce, wysyłając w lecie swe pierwsze promienie wprost na wezgłowie potężnego drewnianego łoża, na którym sypiałem. Broniłem się przed ich natarczywością, przymykając już z wieczora drewnianą okiennicę. Ulicę St. Antoine przecinał Cours Maréchal Joffre, biegnąc równolegle do zbocza w stronę Casteljaloux i wrzynając się w pochyłość terenu, podpartą potężnymi murami, stanowiącymi resztki dawnych obwarowań.

Na stokach wzgórza, nad murami, rosły drzewa, za którymi piętrzyły się domy. Wysoko ponad nimi widziałem szczyt gotyckiej wieży katedralnej, zwieńczonej kamienną iglicą. W głębi ulicy wznosiły się zabudowania klasztorne ze średniowieczną bramą, ujętą w masywne półcylindryczne baszty „du Gisquet", które właśnie w tej chwili nabierały w zachodzącym słońcu szczególnej, wciąż zmieniającej się złotej barwy. U podnóża tej bramy św. Bernard z Clairvaux wzywał do drugiej wyprawy krzyżowej.

W dole, wprost pod moim oknem znajdowała się kamienna sadzawka, w której kobiety prały bieliznę. W związku z tym była ona ośrodkiem wymiany informacji o wszystkich i o wszystkim, co działo się w miasteczku, i nieraz do późnych godzin nocnych toczyły się przy niej rozmowy. Gdy w końcu wszystko cichło, słychać było jedynie szmer wody, która wąskim strumieniem wpadała do sadzawki z rurociągu wybiegającego spod mojego domu. W niektóre noce przed pełnią sadzawka stawała się zwierciadłem księżyca. Odbity w wodzie basenu, zdawał się znajdować w głębi dalekiej i bezdennej jak niebo, gdy patrzyłem nań z okna mego na piętrze. Przesuwał się wolno po czworoboku sadzawki, by zamienić się w rozedrganą świetlistą plamę po dojściu do miejsca, gdzie świeża woda wpadała do basenu. Potem znikał i widziałem znów tylko jeden księżyc, w którego poświacie skąpane były pola podmiejskie, oraz tu i ówdzie srebrzyły się uliczne asfalty i dachy domów. Tak wyglądał świat z okna mego w Bazas, między Garonną a Pirenejami, koło „pays des grands vins blancs". Świat rzeczy codziennych, powiedziałby kto — małych, ale do których się przywiązałem. Patrząc na nie ostatni raz, zdawałem sobie sprawę, że gdy odjadę stąd, będzie mi ich żal. Zjawisko rzadkie w warunkach bytowania uchodźczego, a już zgoła nieznane przymusowemu mieszkańcowi Londynu, do którego można się trochę przyzwyczaić, ale polubić nie można nigdy.

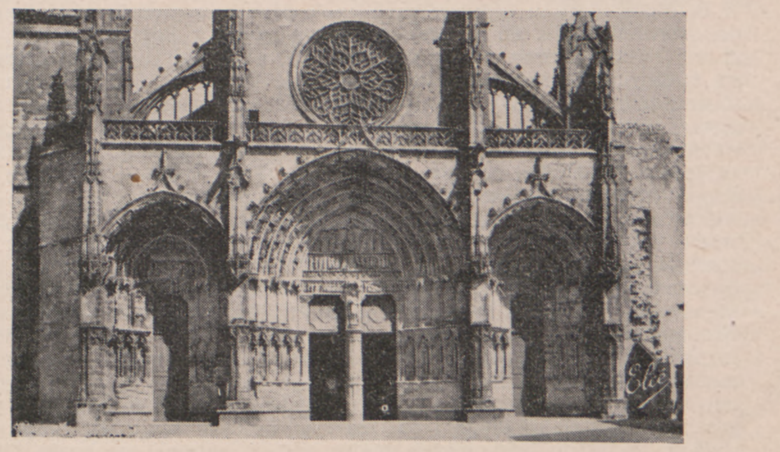
Bazas jest małym miasteczkiem, liczącym około 5000 mieszkańców. Jest ono jednym z tych niezliczonych zakątków Europy, które niewiele zajmują miejsca w przewodnikach turystycznych, lecz które czasem bardziej warto zwiedzić, niż niejedną metropolię. Ileż to podobnych miasteczek widziałem we Włoszech: Casalciprano, Fermo, Recanati, Monte Giorgio, San Elpidio i dziesiątki innych, których nazwy już ulatują z pamięci. To chyba jedna rzecz, którą dała mi wojna. Gdyby nie ona, zapewne nigdy bym tam nie pojechał i nie wiedziałbym nawet, jakie cuda urbanistyki stanowią te małe mieściny, zagubione w Apeninach, gdzie geniusz rasy po mistrzowsku powiązał poszczególne budowle w kompleksy architektoniczne, które w oprawie krajobrazu tworzą często widoki jak gdyby wyczarowane z baśni. Bazas nie posiada warunków naturalnych, jakimi dysponują górskie miasteczka, ale jest dobrze rozmieszczone na niewielkim obszarze, który mu przypadł w udziale. Leży na wydłużonym garbie terenowym, ujętym w dwie dolinki, które zbiegają się przy końcu miasteczka. Jak głosi tradycja, już za czasów rzymskich Bazas było ośrodkiem administracyjnym i twierdzą o pierwszorzędnym znaczeniu. Aż do końca XVIII wieku średniowieczne mury stanowiły granicę, poza którą miasto nie wybiegało, pozostając stłoczone na wąskim garbie. Później rozbudowało się ono w różnych kierunkach, ale śródmieście, stanowiące niegdyś obwód warowny, zachowuje po dziś dzień dawny charakter. Ciasne uliczki, domy o wysokich i wąskich fasadach, gotyckie i renesansowe formy na każdym kroku, — wszystko to nadaje Bazas ów wdzięk szczególny, który posiada tyle starych miasteczek południowej Europy.

W środku miasta znajduje się niezwykle rozległy plac, otoczony podcieniami, którego powierzchnia wznosi się łagodnie w kierunku południowo-wschodnim. Najwyższą krawędź placu zamyka dumnie gotycka katedra z XIII wieku. Plac i katedra rozmiarami swymi przekraczają wszystko, czego można by się spodziewać po tak małej mieścinie. Chwilami ma się wrażenie, że miasto jest tylko dodatkiem, przyległością, przeznaczoną jedynie do akcentowania rozmiarów i znaczenia katedry i placu. Katedra założona jest na podłużnej osi placu, której przedłużenie na przeciwległym końcu stanowi wąska uliczka Fondespan. Jadący od Bordeaux ku Pirenejom widzą przez tę uliczkę w dalekiej perspektywie pokryty rzeźbami fronton katedry. Burzliwe były jej dzieje. Według tradycji, już w IV wieku Bazas posiadało biskupa, ale katedra obecna pochodzi dopiero z XIII wieku i jest trzecią z rzędu. W 1561 roku zwolennicy Kalwina wpadli do kościoła w czasie Pasterki, niszcząc i łupiąc ołtarze, posągi i organy. W roku 1576 hugonoci opanowali miasto i postanowili zburzyć katedrę. Usiłowano wykonać plan za jednym zamachem, ale pomimo starannych przygotowań rzecz się nie udała. Po zawaleniu się sklepień, fasada, kaplice, absydy i inne części budynku wyszły cało. Chciano kontynuować burzenie, ale za cenę okupu pieniężnego biskup Bazas zdołał ocalić resztki świątyni i, stojąc przed ruinami, zawołał: „Żywy lub umarły wzniosę te mury na nowo!" W roku 1583 hugonoci, pobici, musieli opuścić Bazas i natychmiast przystąpiono do odbudowy. Trzeba ją było przerwać w roku 1599, a zebrane środki przeznaczyć na pomoc ofiarom zarazy, jaka wybuchła w owym czasie. Dopiero w roku 1635 odbudowa została ukończona. Nie zmieniono nic, zachowując dawną konstrukcję gotycką. Wielka Rewolucja zadaje katedrze nowe ciosy. Motłoch tłucze rzeźby w dolnych niszach i niszczy całe urządzenie wewnętrzne. Budynek przeznaczono na „Świątynię Rozumu", potem był on salą widowiskową i bankietową i dopiero po zawarciu przez Francję konkordatu w roku 1801 został oddany z powrotem na cele kultu.

Bazas znajdowało się dawniej na wielkim szlaku pielgrzymim do Santiago de Compostella w Hiszpanii, ale pobożne śpiewy wędrujących na grób św. Jakuba Apostoła już dawno umilkły na drogach Francji. Rozwój kolei odwrócił od miasta inne naturalne szlaki komunikacyjne i byłoby ono skazane na powolną zagładę, gdyby nie znajdujące się dokoła żyzne obszary rolne, dla których miasteczko do pewnego stopnia stanowi nadal ośrodek handlowy. Do przemysłu Bazas nie miało szczęścia: tartaki, których dawniej było ponoć kilka, likwidowały się jeden za drugim, a ostatni, który ogłosił upadłość niedawno, istnieje nadal tylko dzięki subwencji państwowej. Jest to jedyny zakład przemysłowy w Bazas. Postępy komunikacji samochodowej spowodowały wstrzymanie ruchu pasażerskiego na linii kolejowej, biegnącej przez miasto w stronę Landów. Dworzec świeci pustkami, a trawa porasta tory, po których dwa tylko pociągi towarowe przejeżdżają dziennie.

Dziś Bazas znajduje się znów na szlaku pielgrzymów, podążających teraz do Lourdes. Ale jadący autokarami pątnicy nie muszą zatrzymywać się w mieście dla nabrania sił do dalszej drogi. Czekają ich jeszcze tylko ze trzy godziny jazdy i już będą na miejscu, więc po co się zatrzymywać? Toteż choć sznury pojazdów przesuwają się czasem przez miasto, rzadko który stanie na chwilę. I Bazas pozostaje nadal na uboczu i w zapomnieniu. Około dziewiątej wieczorem ruch zamiera zupełnie. W mieście panuje taka cisza, że trudno wprost uwierzyć, że za murami domów przecież istnieje życie.

Ten spokój niebywały robi największe wrażenie, gdy przyjedzie się do Bazas wieczorem wprost z Paryża. Ostatnie 15 kilometrów od Langon jedzie się autobusem, który staje u wylotu ulicy Fondespan. Wysiadasz, w uszach masz jeszcze rozgwar wielkomiejskich dworców kolejowych, łoskot pociągu i huk motorów, a oto cisza bazadejska bierze cię w swoje władanie. Co za przeskok do innego świata! Idziesz pustą ulicą Fondespan, a przed tobą w oddali złoci się iluminowany fronton katedry. Wchodzisz na plac katedralny, rozległy, otoczony podcieniami, który teraz w nocy wygląda jak widownia kolosalnego teatru. Patrzysz w stronę górnej, wyższej części placu, zalanej światłem reflektorów, przed samą katedrą. To scena. W jej głębi 250 rzeźbionych figur, zdobiących portale katedry, nabiera w sztucznym oświetleniu jakiejś szczególnej trójwymiarowości. Ostre światło, rzucane pod niezwykłym



...Jadący widzą w dalekiej perspektywie pokryty rzeźbami fronton katedry...

kątem, wydobywa z rzeźbionego kamienia nowe i nieoczekiwane wartości plastyczne. Każdy załom, każda szczelina rysują się z niebywałą wyrazistością. Cała opowieść gotycka o św. Janie Chrzcicielu, o Zaśnięciu i Koronacji Matki Boskiej, o Sądzie Ostatecznym, o wybranych i potępionych żyje nowym życiem, zupełnie odmiennym i bardziej intensywnym, niż za dnia.

Ale nie tylko kamienni, lecz i żywi ludzie przeistaczają się w tym świetle. Sylwetki postaci posuwających się w



Zabudowania klasztorne w Bazas ze średniowieczną bramą ujętą w masywne baszty „du Gisquet". U podnóża tej bramy św. Bernard z Clairvaux wzywał do drugiej wyprawy krzyżowej.

górę ku katedrze po łagodnie wznoszącej się płaszczyźnie placu stają się coraz ciemniejsze w miarę zbliżania się do oświetlonej przestrzeni przed katedrą. Jest coś patetycznego w zestawieniu tych ciemnych, poruszających się plamek ludzkich — z świetlistym ogromem nieruchomej fasady katedralnej. Czy to w cieniu jeszcze, czy już w kręgu światła, te żywe postaci wydają się mniejsze niż zwykle, ale równocześnie zdają się dostrajać do wspaniałości obrazu, którego przypadkiem stały się cząstką. Ci ludzie inaczej wyglądaliby na tle sklepów, kawiarń czy dworców kolejowych. Tu krok ich jest jakby bardziej równy niż zwykle, niemal dostojny, ruchy i gesty opanowane, jak gdyby niewidzialny reżyser kierował skądeś całością widowiska. Ma się wrażenie, że każdy świadomie gra swą rolę epizodyczną, której zadaniem jest uzmysłowić widzowi patrzącemu z dali — głębię tej sceny niezwykłej i rozmiary teatru-olbrzyma.

Katedra jeszcze otwarta, więc wchodzę do środka. Nie ma nikogo. Nawa pogrążona jest w mroku, a światła reflektorów, ukrytych za filarami, padają na prezbiterium z niedużym marmurowym ołtarzem, ujętym w dwie białe figury klęczących aniołów. Jak światło cudownie kształtuje tu przestrzeń i jak świetnie ją zamyka! Dopiero ono czyni jednostkę przestrzenną z prezbiterium, którego obecność za dnia akcentuje tylko ołtarz na nieznacznym podwyższeniu, zaraz dalej bowiem widać przez otwarte arkady obejście, a w głębi wieniec kaplic. Wzrok patrzącego za dnia w stronę głównego ołtarza

(Dokończenie na str. 2)

KATEDRA NAD BAZAS

(Dokończenie ze str. 1)

widzi przede wszystkim barwny witraż w kaplicy obejścia, znajdującej się na osi nawy głównej. Prezbiterium zdaje się znajdować gdzieś na środku nawy, bo nie jest dostatecznie odgraniczone od przestrzeni i źródeł światła, znajdujących się w głębi kościoła. Jest to zjawisko powszechne w gotyku francuskim z jego ażurowym traktowaniem podziałów wewnętrznych. Lecz teraz w nocy wnętrze katedry odmieniło się. Mury absydy nawowej nabrały jasno złotej barwy. Żadne światło nie przenika przez ciemne otwory okienne i arkadowe a to, co znajduje się za nimi, pogrążone jest w mroku. Wzrok bez przeszkód pada na jasne marmury ołtarza i półośmioboczne zamknięcie nawy. Teraz widać od razu, że tu ona się kończy i że tu zarazem jest jej część najważniejsza. Czego nie powiedziała architektura, tego dokonało światło. Przed nabożeństwem zaczną zapalać się inne reflektory, oświecając kolejno w takt architektury jedno przęsło za drugim, od ołtarza ku wejściu. Pierwszy raz zobaczę wówczas kościół gotycki oświetlony nowocześnie z takim artyzmem. Ale w tej chwili jest już po nabożeństwie, więc jaśnieje tylko prezbiterium, a reszta znajduje się w półcieniu.

Bocznym wyjściem koło zakrystii wychodzę na zadrzewiony taras, znajdujący się na południowej stronie katedry. Od zachodu zamyka go okazała plebania, a dwa otwarte boki, podparte murami dawnych obwarowań, wznoszą się wysoko nad dolinką zwaną La Brèche. Podchodzę do kamiennej balustrady. Jest jasna księżycowa noc. W dole pod murami widnieje wysadzana drzewami aleja. Po drugiej stronie doliny stare drzewa rosnące wysoko na stromym zboczu tworzą miejscami niemal pionową ścianę, powiększając głębię dolinki. Tu i ówdzie w przerwach między wierzchołkami widać pola, leżące po drugiej stronie. W dole, przy starym młynie, szemrze strumyk. Nie widać go właściwie zupełnie i tylko szmerem daje znać o sobie, wnosząc szczególny akcent życia w ciszę tej nocy księżycowej. Szmer to tak słaby, że nie słychać go w głębi tarasu i dopiero trzeba podejść do balustrady. Jest on jednak wystarczającym akompaniamentem do obrazu i nie trzeba tu innej muzyki. Nikt nie będzie tu lepiej grał. Można stać tu długo i patrzeć i słuchać, bo jest to jedno z tych miejsc, które nas przybliżają do jakiejś szczęśliwej krainy marzeń dziecięcych, czy młodzieńczych, jakiejś swoistej Arkadii, do której coraz rzadziej się powraca z biegiem lat. Ale ona tkwi gdzieś w podświadomości i nagle urzeczywistnia się w zetknięciu z pięknem takim jak ten oto zakątek, gdzie szeroko rozsiane wdzięki lekko pofalowanej równiny gaskońskiej szczęśliwie zbiegły się w jedno i zharmonizowały w całość tak cudownie prostą i tak urzekająco nastrojową.

Małe Bazas ma wielorakie oblicze i urodę swą potrafi ukazywać raz po raz w sposób nowy i nieoczekiwany. Kiedyś w jesienną noc, gdy gęste chmury zawisły nisko nad miastem, zobaczyłem z daleka na niebie dziwne zjawisko. Wysoko nad katedrą ciemne chmury odcinały się od jasnych liniami zupełnie prostymi, tak jakby ręka malarza abstraktów usiłowała położyć na skłębione formy zgeometryzowany obraz przecinających się pod kątami płaszczyzn. I oto w tej gmatwaninie rozpoznałem po chwili kształt katedry. To jej cień padał na chmury, rzucony przez reflektory umieszczone na niskim domu, skutkiem czego musiały być wysoko skierowane w górę celem oświetlenia całego szczytu i dzwonnicy. Ta ostatnia szczególnie wydłużyła się w chmurach, jakby chciała sięgnąć wierzchołków nieba. Gdziekolwiek znajdowałeś się w mieście, wszędzie było ją widać. Wznosząc się ponad iluminowany fronton katedry, zamknęła wąską perspektywę ulicy Fondespan swym niebotycznym cieniem, wyższa teraz i wspanialsza, niż wszystkie wieże katedralne w całej Francji.

Około północy jakiś ruch daje się zauważyć na ulicach: to mieszkańcy Bazas wracają z kina do domów. Rozdzielają się stopniowo na coraz mniejsze grupki i pomału odgłos kroków ginie w wąskich uliczkach. Znowu jest cisza. Kościelny zapomniał pogasić reflektory i iluminacja trwa. Jedna katedra złoci się w świetle pośród pustego placu, druga unosi się nad miastem w chmurach i czuwa nad nim do rana.

F. Strzałko

O. KAROL VAN OOST O.S.B.

O ISTOCIE MODLITWY LITURGICZNEJ

Niniejszy artykuł powstał z notatek, które przygotowałem na jedno z zebrań Koła Pań „Veritasu". Opracowałem je ponownie dla uczestników obozu letniego „Veritasu" w Lilford. Młodzi moi przyjaciele — inaczej nie mogę nazwać swoich sympatycznych słuchaczy z obozu — nalegali abym oddał do druku tych kilka uwag i myśli. Trudno mi było sprzeciwić się ; początkowo spodziewałem się, że może zapomną, ale kiedy od jednego z nich otrzymałem „słówko upomnienia" — nie mogłem już się wycofać.

Oto definicja liturgii, którą daje Pius XII w Encyklice „Mediator Dei" (20. XI. 1947). „Liturgia obejmuje całkowity kult publiczny Ciała Mistycznego Jezusa Chrystusa, a więc Jego Głowy i członków." Przedmiotem liturgii jest zatem kult publiczny, podmiotem zaś Chrystus cały. Kultem nazywamy hołd, bądź cześć, oddawaną jakiejś istocie. Istnieje kult Boga, Świętych a także rzeczy Bogu poświęconych.

Cześć wymagana jest z różnych powodów. Już sama zasada sprawiedliwości żąda byśmy każdemu oddawali należny mu szacunek. Jeżeli chodzi o Boga, Świętych jak i o rzeczy święte, hołd im składany płynie z cnoty religii. Cnota religii, „jest cnotą moralną, dzięki której gotowi jesteśmy oddać Bogu hcmagium lub cześć, co Mu należy jako najwyższemu Źródłu wszystkiego." (cf. S. Thomas, Summa Theol., II III 81 a 1).

Cnota religii odnosi się również do czci, którą oddajemy Świętym i rzeczom świętym dlatego, że przez swą świętość, względnie swoje poświęcenie łączą się z Bogiem.

Kult liturgiczny jest **publiczny.** „Chociaż obowiązek oddania Bogu należnej Mu czci wiąże w pierwszym rzędzie każdego z osobna, obowiązuje on jednak również całą wspólnotę ludzką, złączoną w jedno wzajemnymi więzami społecznymi, skoro i ona zależy od najwyższej władzy Bożej." „Lecz społeczność ustanowiona przez Boskiego Odkupiciela ma szczególny obowiązek składania Bogu należytej czci i hołdu. Przedłużając dzieło Chrystusa Kościół Święty ma ze Słowem Wcielonym wspólny cel, wspólne zadanie. W ten sposób na tym ziemskim wygnaniu codziennie poszerza się święty przybytek, w którym Majestat Boży otrzymuje miłą i należną mu cześć. Dlatego też w każdej czynności liturgicznej wraz z Kościołem obecny jest Jego Boski Założyciel. Obecny jest w Najświętszym Sakramencie Ołtarza, tak w osobie ofiarującego kapłana, jak i przede wszystkim pod Postaciami Eucharystycznymi. Obecny jest w Sakramentach przez Swą moc, którą w nie wlewa, by stały się środkami uświęcenia. Obecny jest wreszcie w uwielbieniach i błaganiach do Boga zanoszonych." (Mediator Dei, str. 35).

Pierwszym celem liturgii nie jest kult oddany Bogu przez **jednostkę.** Jednostka nie jest podstawą modlitwy liturgicznej, ani sama, ani jako składnik sumy wiernych. Jaźń liturgii nie znajduje się w samej sumie wiernych lecz jest czymś innym. To jedność gminy wierzącej jako taka, a więc przekracza ona zwykłe pomnożenie jednostek. Otóż jedność, o której jest mowa, to Kościół sam.

Z faktu, że liturgia jest kultem publicznym, wypływa postulat wykonywania i organizowania jej przez ludzi do tego uprawnionych, tj. przez kapłanów.

Obok kultu publicznego znajdujemy inne przejawy czci, np. modlitwę osobistą, modlitwę wspólną lub zbiorową. Te formy modlitwy posiadają cechy pewnej epoki lub miejsca i występują jako wyraz moralnej i duchowej fizjonomii jednostki lub grupy wiernych. Jednak między modlitwą wspólną lub zbiorową i modlitwą czysto indywidualną czyli osobistą, istnieje różnica; pierwsza posiada jeszcze pewną obiektywność przez to, że jest wspólną jednakową treścią dla pewnego ogółu. Niemniej, ani jedna ani druga nie jest modlitwą liturgiczną. W formach pobożności ludzkiej indywidualnej przeważa w znacznym stopniu potrzeba osobistego zaspokojenia.

Stąd modlitwa liturgiczna nigdy nie będzie mogła zadośćuczynić potrzebom mas lub jednostek. Liturgia nie może być jedyną formą modlitwy wspólnej. Obydwie formy są potrzebne. Byłoby to wielkim błędem, gdybyśmy żądali, aby wszystkie formy modlitwy prywatnej lub publicznej koniecznie stosowały się do modlitwy liturgicznej.

„Nie powinno być rozdźwięku między nabożeństwami publicznymi a prywatnymi i między życiem ascetycznym a pobożnością liturgiczną. Niewątpliwie, modlitwa liturgiczna, jako nabożeństwo publiczne Świętej Oblubienicy Jezusa Chrystusa, przewyższa godnością modlitwy prywatne. Ta wyższość nie oznacza bynajmniej, by publiczna i prywatna służba Boża miały się ze sobą nie zgadzać lub sobie przeszkadzać. Obydwie ożywia jeden i ten sam Duch, obydwie się zlewają i dopełniają według tych słów „wszystko i we wszystkim Chrystus", i do jednego zmierzają celu, „ażeby Chrystus w nas był ukształtowany" (Mediator Dei, str. 45).

A więc kult liturgiczny musi zachować pierwszeństwo, tak jak całość góruje nad częściami, gdyż „bonum commune ante bonum particulare".

Modlitwa nieliturgiczna ma się podporządkować modlitwie liturgicznej, stosować się do niej, w niej się odnawiać, bo przecież liturgia stanowi dla wszystkich normę modlenia się — lex orandi. I tutaj znajdujemy pewne podobieństwo między dogmatem i wiarą osobistą jednostki. Liturgia jest normą, do której będą się stosować wszystkie inne formy kultu — według niej badać, czy się nie oddaliły od zasad, i z jej pomocą odnajdywać właściwą drogę.

Potrzeby duchowe, które się zmieniają według czasu i miejsca, będą się spontanicznie wyrażały w formach religijności ludowej. Wobec tych form kultu liturgia odzwierciedla niezmienne podstawy duchowe Kościoła świętego.

Liturgia sama uczy nas przede wszystkim, że „myśl" jest koniecznym podłożem wszelkiej modlitwy, czy zbiorowej czy indywidualnej. Zasadniczym elementem jest w niej dogmat, tj. formuły doktrynalne. Weźmy np. kolekty niedzielne. Mamy do czynienia z tekstem niezmiernie jędrnym, a posiadającym w powściągliwych słowach bogatą treść.

To wcale nie znaczy, że w modlitwie liturgicznej brak serca i uczucia. Wszelka modlitwa jest wzniesieniem serca ku Bogu. Wierny powinien służyć Bogu, chwalić Go i uwielbiać duchem, wolą i nawet ciałem. Dopóki wola, a więc i serce nie działa, nie ma modlitwy; jest to co najwyżej rozważanie czysto intelektualne. Serce stanowi podporę myśli.

Są temperamenty duchowe, które potrafią trwać i ustalić się przez wzruszenie serca. Modlitwa jednak często się powtarzająca musi liczyć na zmienność (i to z dnia na dzień) stanów wewnętrznych duszy. Jeżeli jest to modlitwa oparta na elemencie uczuciowym, przybiera ona w wielkim stopniu charakter partykularny, bo uczucie najbardziej skłonne jest do wyodrębnienia się. Stąd konieczne jest, aby, do pewnego stopnia, istniała zgodność między stanem duszy, z której ta modlitwa pierwotnie brała źródło, a stanem duszy tej, która ją obecnie odmawia, inaczej bowiem powstaje możliwość, że modlitwa będzie miała fałszywy ton.

Podobnie jak partykularyzm opiera się powtórzonemu i codziennemu użytkowaniu tej samej formuły, tak też różnorodność temperamentów duchowych jest nawet w większym stopniu przeszkodą w korzystaniu z niej. Jedynie **myśl** ma ten przywilej, że pozostaje powszechną wartością. Myśl — oczywiście, o ile jest ona prawdziwą myślą, zostaje zawsze jednakowa, niezmienna. Oto warunek dla każdej zbiorowej modlitwy: aby modlitwa zachowała swą moc, musi przeważać w niej myśl a nie uczucie, zwłaszcza dlatego, że ma służyć zbiorowości, składającej się z najbardziej czasem zróżnicowanych, poddanych różnym przeżyciom wewnętrznym temperamentów.

Zbiorowa modlitwa ma się opierać na myśli dogmatycznej. Nie zapominajmy, że dogmat, to nic innego jak sformułowana prawda nadprzyrodzona. Otóż jedynie modlitwa pochodząca z Prawdy jest dobra. Jedynie Prawda, jedynie dogmat daje modlitwie moc, nieraz cierpką, lecz ożywiającą, bez której modlitwa narażałaby się na łatwą uczuciowość, ckliwość. Nieraz to odczuwamy w religijności ludowej, w pewnych pieśniach, jak i w sztuce ludowej (tzw. dewocjonalia), co nie znaczy wszakże, by lud nie był czuły na prawdziwą sztukę, zdrową i mocną.

Ale prawda powinna być integralna. Są tacy, którzy chętnie dają pierwszeństwo tej lub owej szczególnej prawdzie naszego credo i to według skłonności ich natury, temperamentu, chwilowej potrzeby duchowej lub pod wpływem poleconego nabożeństwa, najbardziej im odpowiadającego. Modlitwa zbiorowa mając za podstawę jedną szczególną prawdę nie byłaby w stanie zadowolić różnych temperamentów. Np. dzisiaj dużo się mówi o nabożeństwie do Miłosierdzia Bożego. Nikt nie zaprzeczy, że to nabożeństwo jest bardzo aktualne. Biedny świat, przytłoczony bezmiarem grzechów, musi szukać ratunku w samym miłosiernym Sercu Zbawiciela. Jednak, jeżeli przewodniczący tej zbiorowej modlitwie, czy w kościele parafialnym, czy w klasztorze, ustawicznie kładzie nacisk na ten jeden przejaw Boskiej doskonałości iześrodkowuje wszystkie nabożeństwa około tej głównej myśli, po pewnym czasie stwierdzi, że wielu słuchaczy już nie idzie za nim. Mają już inne potrzeby, potrzeby rozszerzenia horyzontu.

Oczywiście nabożeństwo do Miłosierdzia Bożego znajdzie swe miejsce w ekonomii modlitwy liturgicznej, miejsce uprzywilejowane, bo przecież to zasadnicza postawa Kościoła w różnych okresach roku liturgicznego. Niemniej, dogmat katolicki ma również inne przejawy, w których dusze wiernych mogą znaleźć pobudzenie do postępu duchowego. Tu znów liturgia będzie normą, „lex orandi". Kolejno, w porządku różnych okresów roku liturgicznego, Kościół podkreśla wszystkie dogmaty wiary naszej: Bóg w swej nieskończoności, Bóg-Stworzyciel, Bóg jeden i Trójca Święta, grzech człowieka, Odkupienie, Królestwo Chrystusa, Kościół.

Oto Prawda, której bogactwa nigdy się nie wyczerpują! Nie mogą spowszednieć, nigdy nie tracą niczego ze swej świeżości.

A więc modlitwa zbiorowa może być płodna, o ile się nie zamyka w jednej z dziedzin wiary, o ile wcieli się w pełnię nauki Chrystusowej. Rzecz jasna, nie znaczy to, że wszelka modlitwa zbiorowa, liturgiczna lub nie, musi zawierać w sobie wszystkie składniki tej nauki.

*

Wracając do modlitwy liturgicznej, nie możemy zapominać, że **zdrowe uczucie** musi przenikać i napełniać wszystkie formy modlitwy. Bezwarunkowo, serce ma dużo do powiedzenia w modlitwie liturgicznej. Tkwi w niej całe życie afektywne. Aby się o tym przekonać, wystarczy przeczytać kilka psalmów. „Wyrażają radość dusz naszych, smutek, nadzieję, obawę, wolę naszą, Bogu całkowicie ufającą, Jego miłującą..." (Mediator Dei, str. 74). Psalm jest błogosławieństwem ludzi, chwałą Boga, uwielbieniem wiernych, jest poklaskiem wszystkich, powszechną mową, głosem Kościoła, dźwięcznym wyznaniem wiary, nabożeństwem pełnym powagi, radością swobody, okrzykiem przyjemności, wykwitem radości." (św. Ambroży).

Owszem, w liturgii często, bardzo często spotykamy chwile intensywnego wzruszenia. Ale — i to jest charakterystyczna cecha modlitwy liturgicznej — kiedy zdawałoby się, że wzruszenie dochodzi już do paroksyzmu, nagle zostaje umiarkowane i poskromione. Jak to wytłumaczyć? Dla tej samej przyczyny, która powoduje większą obiektywność modlitwy liturgicznej, to znaczy, że ta modlitwa ma służyć zbiorowości stworzonej z rozmaitych temperamentów, usposobień, niezależnie od czasu i środowiska. Dlatego również będzie ona bardziej zrównoważona, opanowana albowiem liturgia nie lubi przesadnego wylewu uczuć. Ten umiar idzie czasem tak daleko, że daje wrażenie chłodu. Weźmy znów kolekty niedzielne, albo raczej Kanon Mszy świętej. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że tam jedynie rozum działa. Lecz dla tych, którzy żyją w atmosferze liturgii, co za życie w tych surowych formach! Co za godność nagromadzona przez piętnaście lub więcej wieków! Ile pokoleń biskupów, kapłanów i wiernych powtarzało te same formuły, których treść nigdy się nie wyczerpuje.

Podobna karność duchowa jest niezmiernie mądra i potrzebna. Są chwile, kiedy uczucie może się ujawnić, ale modlitwa przeznaczona dla wszystkich i na codzień (obojętnie jakie mają być okoliczności czasu, miejsca i osób) powinna zachować zasadę umiaru. Jakiekolwiek uczucie zanadto napięte lub wybuchowe pociągnęłoby za sobą dwojakie niebezpieczeństwo, mianowicie albo wierny zmuszony będzie znaleźć w sobie uczucie, którego nie odczuwa, albo zostaje obojętny wobec niego — a wtedy usta tylko będą się modliły.

W związku z tym liturgia posiada również szczególną zaletę: **pewną wstydliwość.** Nie pozwala ona na wylew uczuć nader intymnych. Owszem, potrafi je pobudzać, lecz równocześnie zachowuje dla nich ukrycie w sercu. „Secretum meum mihi" — tajemnica moja dla mnie (Izajasz, 24, 16). Właściwie to rzecz każdego z nas rozważyć samemu sobie teksty, które służą do odprawiania Mszy świętej. Przelotne przeczytanie nie wystarczy.

Nic gorszego niż fakt wyładowania i wyjawienia tego, co jest tylko i jak najbardziej nasze. To się namacalnie sprawdza na świecie, np. w sztuce. Dlaczego niektóre obrazy, może technicznie dobrze wykonane, drażnią nas i obrażają? Bo, czy na płótnie czy w kamieniu, nie można utrwalić chwili najwyższego napięcia.

W muzyce dzieje się podobnie. Muzyka wyraża się w odcieniach i harmoniach. Czy można by znieść utwór, który by utrzymany był w stałym fortissimo?

Obecne tendencje w sztuce, zwłaszcza w malarstwie dążą do pewnego ogołocenia — nieraz nawet doprowadzonego do przesady, jak np. w dziełach Matisse'a (kaplica w Vence).

Zbiór modlitw liturgicznych na ogół nie zawiera formuł, które uroczyście potwierdzają postawy duchowe lub moralne, żądające ślubowania lub całkowitego wyrzeczenia się. Od czasu do czasu, w najrozmaitszych chwilach życia spotykamy podobne formuły, np. przy udzielaniu Sakramentu Chrztu, Święceń Kapłańskich, Małżeństwa i przy ślubach zakonnych. W modlitwach codziennych liturgia unika formuł wyrażających akty poświęcenia lub ślubowania. Tkwi w tym wielka mądrość. W momentach entuzjazmu i podniosłego zapału takie formuły mogą być usprawiedliwione, lecz w życiu codziennym **zbiorowości,** jeśli zbyt często się powtarzają, powstaje nieszczerość duchowa. Bo przecież nie można wymagać, by wszyscy jednakowo i równie często doznawali tych samych uczuć i o tej samej intensywności, chyba, że formuły modlitewne będą powtarzane bez przekonania. Mamy np. piękny Akt Wynagrodzenia do Serca Jezusowego, zawierający m. in.: „Obyśmy krwią własną mogli zmyć te wszystkie zbrodnie..." Piękna myśl i piękne życzenie. Jeżeli w tej chwili przeżywam potrzebę wypowiedzenia tych słów — mogę ich użyć. Lecz czy można wymagać, aby cała społeczność dzień po dniu je powtarzała? Lepiej pozostawić to szczególnym okazjom.

*

Jaka modlitwa najlepiej jest dostosowana do ducha liturgicznego? Jaka modlitwa najlepiej wprowadza w klimat liturgiczny? — Modlitwa chórowa, tj. modlitwa brewiarzowa odmawiana lub śpiewana przez osoby do tego uprawnione, do której dołączają się świeccy — oto modlitwa oficjalna Kościoła świętego. Kościół stosuje się do polecnia Chrystusa: „Trzeba zawsze się modlić i w modlitwie nie ustawać." (Łuk. 18, 1). Nigdy nie przestaje zanosić modłów i upomina nas słowami Apostoła Narodów: „Przez Niego (Jezusa) składajmy Bogu zawsze ofiarę chwały" (Hebr., 13, 15). (Mediator Dei, str. 81)

Od razu śpieszę tu dodać, że modlitwa chórowa zakłada spełnienie szeregu warunków. Oczywiście, ściśle biorąc, prawo niczego pod tym względem nie nakazuje świeckim; jest jednak rzeczą wielce pożądaną, aby brali oni czynny udział w godzinach kanonicznych.

Pożądany jest czynny udział ducha i serca uczestników. Bierny udział nie wystarczy. Sam św. Benedykt w swej Regule tak mówi o Bożym Oficjum: „Tak stawajmy do psalmodii, aby myśl nasza wtórowała głosowi naszemu" Reg. S. B. XIX).

Modlitwa chórowa przybiera formy dramatu. Mam na myśli tragedię grecką: dwa chóry odpowiadające sobie, koryfeusz, który wykonuje trudniejsze części, albo reasumuje w skondensowanych formułach myśl całej modlącej się gminy; wspólne ruchy i sama akcja liturgiczna, lub treść modlitw według pór roku kościelnego lub świąt.

Nad tymi czynnościami góruje oczywiście to, co jest punktem centralnym całej liturgii, tj. ofiara eucharystyczna, która streszcza w sobie, i to w tajemniczy sposób ten dramat, o którym wspomniałem.

Ponieważ Msza św. i cała modlitwa liturgiczna żądają od nas uczestnictwa całego człowieka (duszy i ciała), strona zewnętrzna odgrywa również rolę bardzo ważną: głos, ruchy, nawet fakt użycia naczyń liturgicznych. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że ta modlitwa lub cześć zwraca się do Boga samego, który jest Doskonałością i Pięknem, i że w takiej chwili człowieczeństwo najbardziej się zbliża do Niego, wypada, aby w harmonii wszystkich naszych uzdolnień ta **laus divina** przybierała kształt najdoskonalszy. Nic dziwnego, że duch liturgiczny użytkuje piękno stworzone na chwałę Piękna substancjalnego.

A oto jeszcze jedna cecha modlitwy liturgicznej, bynajmniej nie drugorzędna, bo nie chcieć jej znać, to znaczy ignorować nasze ludzkie możliwości. Biorąc pod uwagę różne elementy modlitwy liturgicznej i jej ducha, trzeba jednak przyznać, że liturgia nie może się obejść bez pewnego poziomu kultury, tj. bez syntezy wszystkich walorów twórczego geniuszu człowieka. Oczywiście kultura sama nie potrafi stworzyć religii, lecz dostarcza środków do pełnego rozwoju jej działania.

W dziedzinie liturgii pewien stopień kultury jest konieczny, ale liturgia zakłada również indywidualność natury ludzkiej, dlatego nie grozi jej zesztywnienie, ani utrata szczerości, ani wyjałowienie; dlatego też od czasu do czasu Kościół poddaje rewizji ustawy liturgiczne, nie bojąc się zmienić — (oczywiście nie w sprawach bezkompromisowo zasadniczych) — tego, co nie jest zrozumiałe, w duchu czasu; lub na nowo wprowadzić w życie stare zwyczaje, bardziej zgodne z duchem liturgicznym. Nie zapominajmy, że liturgia, jak Kościół, jest zawsze żywa.

O. Karol van Oost, O.S.B.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Bolesna rocznica. 25 września minęło 400 lat od chwili podpisania w Augsburgu tak zwanego „pokoju religijnego augsburskiego". Przypieczętował on rozdarcie religijne Niemiec, które na skutek wystąpienia Lutra dokonało się w ciągu pierwszej połowy wieku XVI. Jak wyraził się obecny Ojciec św. w liście z 27 czerwca do biskupa Augsburga, „...rozdarcie jedności religijnej Niemiec i Europy było największą klęską, jaka mogła dotknąć Zachód chrześcijański i jego kulturę. Czy wolno, wspominając tę datę, wyrazić nadzieję, by droga wskazana przez Boską Opatrzność Zachodowi mogła prowadzić coraz bardziej ku utraconej jedności?"

O wprowadzenie Boga do Narodów Zjednoczonych. Przewodniczący Rady Mężów Katolickich w Stanach Zjednoczonych, Albert Sattler wystosował na ten temat list do ambasadora Lodge w Organizacji Narodów Zjednoczonych. W odpowiedzi Henry Cabot Lodge zaznaczył, że zrobi wszystko, by wprowadzić Boga do ONZ. Wobec różnorodności religijnej narodów należących do ONZ nie jest pewne, zdaniem Lodge'a, czy w Karcie tej organizacji da się oficjalnie wprowadzić Imię Boga, jednak nic nie stoi na przeszkodzie, by organizacja postępowała zgodnie z wolą Bożą. Obecnie obrady zaczynają się jednominutowym skupieniem i modlitwą. Ambasador Lodge proponuje, by nad wejściem do gmachu ONZ umieszczono słowa św. Franciszka z Asyżu: „O Panie, uczyń mnie narzędziem Twego pokoju".

Katolicki uniwersytet na Filipinach. Filipiny liczą 7.083 wysp, z których zaledwie 466 ma ponad 6 km kwadratowych. Cały obszar wynosi mniej więcej tyle, co półwysep włoski, i zamieszkany jest przez około 20 milionów mieszkańców, w tym 80% katolików. Filipiny katolickie mogłyby, gdyby ich katolicyzm był dynamiczny, wywierać wpływ na okoliczne kraje pogańskie. Niestety, jak w wielu katolickich krajach, także i na Filipinach jest wśród dużej ilości katolików wielka ignorancja religijna, kraj trzeba raczej odzyskać dla Kościoła katolickiego. Spośród prac, jakie czyni się w sprawie uświadomienia religijnego ludności, jedno z naczelnych miejsc zajmuje praca uniwersytetu katolickiego w Cebù. Początki jego sięgają pierwszych czasów nawracania na chrześcijaństwo ludności Filipinów. Od roku 1935 uniwersytet prowadzą księża werbiści.

W przygotowaniu do nawrócenia Rosji. Kościół katolicki nie tylko modlitwami, wśród nich modlitwami odmawianymi już od 25 lat po cichych Mszach św. na intencję Rosji, stara się przyspieszyć godzinę nawrócenia Rosji, ale przygotowuje się do wysłania swych misjonarzy, gdy to tylko będzie możliwe. Do dotychczas istniejących ośrodków kształcących przyszłych misjonarzy przybył ostatnio nowy: w New Canaan w stanie Connecticut w Stanach Zjednoczonych franciszkanie otwarli nowicjat w słowiańskim obrządku.

W obliczu komunizmu. W Wernberg w Karyntii odbył się Tydzień Studiów dla diecezjalnych kierowników Austriackiej Młodzieży Katolickiej, na którym przedyskutowano problem odpowiedzialności wolnej Europy wobec Wschodu. Rozważenie problemu doprowadziło do następujących wniosków: przede wszystkim Austriacka Młodzież Katolicka, która w roku zeszłym przyjęła patronat nad Kościołem prześladowanym na Wschodzie, będzie kontynuować modlitwy i umartwienia na intencję prześladowanych; w pierwszym rzędzie mają to być: codzienne odmawianie modlitwy „Anioł Pański" i tygodniowe umartwienia przed uroczystością Chrystusa Króla i Niedzielą Męki Pańskiej. Ponadto młodzież będzie kontynuowała pozytywną pracę dla przedstawiania niebezpieczeństwa komunizmu i przeciwstawiania się jego infiltracji w krajach zachodnich.

Katolicki tygodnik afrykański. Ojcowie biali wydają w Dakarze tygodnik katolicki „Afrique Nouvelle", którego redaktorami są wprawdzie przeważnie Europejczycy, ale tygodnik jest dostosowany do warunków życia w Afryce i do sposobu myślenia Murzynów. Zajmuje się nie tylko sprawami religijnymi, ale wszystkimi zagadnieniami pod kątem widzenia nauki katolickiej. Ma nakład 8 tysięcy egzemplarzy.

250.000 dolarów na cele społeczne. W Sydney zmarła jedna z największych dobrodziejek Kościoła katolickiego w Australii, Blanche Mary Sheldon, dama Grobu Świętego. W ciągu swego życia obdarowała katolickie instytucje wychowawcze i opieki szpitalnej na łączną sumę ponad 250.000 dolarów.

„Wielcy katolicyzmu". Ente Librario Italiano w Rzymie przystąpiło do wydania encyklopedii biograficznej, poświęconej wszechstronnemu omówieniu wkładu katolików do kultury ludzkiej. Encyklopedia nosi tytuł: „I Grandi del Cattolicesimo".

Prasa katolicka w Stanach Zjednoczonych. Rocznik prasy katolickiej w Stanach Zjednoczonych podaje 570 pozycyj publikacyj katolickich z liczbą abonentów przewyższającą 21 milionów. W porównaniu do roku poprzedniego jest to wzrost o 13 publikacyj i około 400 tysięcy abonentów.

Zmiana tytułu „The Catholic Worker". Miesięcznik angielski „The Catholic Worker" będzie wychodzić pod tytułem „Catholic Life".

NOWE KSIĄŻKI

„DOLINA ISSY"

Jerzy Pietrkiewicz wyszydził w latach ostatniej wojny skłonność pisarzy do „wspominkarstwa". Rzucone od niechcenia słowo albo jędrna sentencja podbijają czasem opinię i rządzą nią twardo. Probierz „wspominkarstwa" dziś prawie że zastępuje w krytyce wartość artystyczną prozy i poezji. Niesłusznie, rzecz jasna. Dobre dzieło sztuki może być najbardziej wspominkarskie, mimo to nie przestanie być dziełem sztuki. W ogóle w sztuce nie temat jest ważny, lecz sposób opracowania, czyli forma i cel dzieła, czyli jego idea. W końcu zresztą, cokolwiek człowiek czyni, zapada to natychmiast w przeszłość. I skądże ma pisarz czerpać myśli, wątki i natchnienia, jak nie z przeszłości. Od chwili napisania utworu do chwili jego dotarcia do rąk czytelników mijają zwykle miesiące, a nawet lata, jakże więc mówić o prawdziwej „aktualności" dzieła sztuki i w ogóle jakiegokolwiek dzieła ludzkiego? Wszystko, co jest stworzone, jest przeszłością, czasem dokonanym i niepowrotnym. Nie jest też ważne, czy tematyka dzieła sztuki wzięta jest sprzed lat stu, dziesięciu, z wczoraj, przedwczoraj, czy tzw. dnia dzisiejszego, który w tej sekundzie mija, a w chwili gdy te tu teraz pisane słowa zostaną odczytane, będzie przeszłością sprzed co najmniej tygodnia. Człowiek i jego sprawy, jednakże, są wieczne i trwają, chociaż już dawno były. Potępianie zaś przeszłości oznacza sprowadzanie człowieka do roli istoty biologicznej, która powinna odnajdywać szczęście w tym, że jest teraz, że żyje i trawi, jak ryba czy ameba. Wszystko, co ludzkie, utkane jest z przeszłości. Nie ma czasu teraźniejszego, a to, co jeszcze nie minęło, jest tylko surowcem dla przeszłości. Człowiek skazany jest na życie przeszłością. Wieczne „teraz" nastąpi dopiero na tamtym świecie, a będzie się składać również z tego wszystkiego, co kiedykolwiek było.

Twórczość jest nierozerwalnie związana z wiecznością, gdyż tworzenie jest aktualnością, teraźniejszością, wprowadzaniem możności w akt, przeróbką surowca rzeczywistości, a więc przede wszystkim myślenia, na twórczość, to jest na przeszłość i wieczność. Nie istnieje twórczość „eskapistyczna", gdyż nawet obrona przed rzeczywistością jest wyrazem rzeczywistości, jest rzeczywistym aktem. „Eskapizmem" można tylko nazwać nie-twórczość, bezpłodność twórczą. Każde tworzenie, każdy ludzki czyn i każda myśl muszą być kiedyś aktualnością, jeśli w ogóle powstają. A jeśli były, są zawsze. „Zaangażowaniem" pisarza jest tedy pisanie samo.

Problem wspominkarstwa, oczywiście, istnieje, jako problem złego wspominkarstwa i równoznaczny jest z problemem złej literatury. Z grubsza można stwierdzić, że złe wspominkarstwo to wspominkarstwo bezcelowe, bezideowe.

◆

„Dolina Issy" Czesława Miłosza jest powieścią autobiograficzną, o czasach sielsko-anielskich dzieciństwa na Litwie. Dwór ziemiański z pierwszej ćwierci XX stulecia i jego gałęzie w dalekich wielkich miastach, w wojaczce i zaścianku, jego powiązania i starcia z plebanią, ze wsią, z leśnikami, urzędnikami. Patriarchalne życie rodziny i rodu, narodziny nowej epoki społecznej, rozrywanie się wielowiekowej spójni dwu narodów. Współżycie z naturą, z lasem zwłaszcza, z ziemią, z rzeką. Ludzie w tej gęstwinie różnią się między sobą, jak głuszce, żołny, cyranki, krakwy, tracze, bekasy. Różni są w kolorach, w znaczeniu, w obyczajach.

Zarówno w świecie zwierzęcym jak i ludzkim Miłosz dostrzega przede wszystkim jednostki i zajmuje się ich losami i ich duchowymi sprawami. Jest epikiem osób, nie masy. Świat odtwarza nie wprost z natury, lecz z obrazów w soczewkach swych postaci, zwłaszcza małego Tomasza Surkonta. Dlatego świat ten jest przeduchowiony, pełen zagadek i sprzeczności. Ludzie, zwierzęta i duchy, ziemskie, napowietrzne i podziemne, łączą się w nim nierozerwalnie. Duch dziejów, jakby nowe bóstwo, rządzi światem.

Epika, to pojęcie określone raczej mgliście. Można za nią uważać gatunek literacki, w którym opisy przeważają nad wydarzeniami i dialogami. „Dolina Issy" z takiego punktu widzenia jest epopeją z jednej bryły kamienia. Nie ma w niej szczególnie splątanej i zagadkowej intrygi, nie ma nawet bogatej powieściowej akcji; są tylko zdarzenia, następujące po sobie niemal przyrodniczo: śluby, chrzciny, zgony, przychodzące z latami namiętności, żądze miłosne, upadki i natchnienia, pięcie się ludzi po drabinie społecznej, walka o własność. Akcja natomiast rozgrywa się na tokowiskach głuszców, w gniazdach sójek, na falach Issy, w młockarni, na żmijowisku, w lasach, na mokradłach.

Takich jak Miłoszowe opisów przyrody nie miała literatura polska od czasów Dygasińskiego i Weyssenhofa. Tylko uczciwy poeta mógł tak lekko i udatnie wyminąć ławice banału i konwenansu. W Borkunach i Giniach słońce nie jest złote, księżyc blady, ani gwiazdy nie mrugają. „Piękny wieczór. Jeszcze jasność, ledwie podchodząca różowością zza czarnej masy na widnokręgu, zaznaczonej ostro szczytami jedlin, a już księżyc-opłatek..." Issa wcale nie toczy przejrzystych fal. „Na powierzchni Issy smużyło delikatnie. Wąż wodny przeprawiał się z jednego brzegu na drugi, niosąc wystawioną prostopadle głowę, a wąsy fałd układały się za nią ukośnie." Ptaki zachowują się jakoś inaczej niż w powieściach. „Jest pora roku, kiedy kukułka jeszcze kuka, ale już zanosi się często śmiechem, zanim umilknie, aż do następnej wiosny." Miłosz nie zachwyca się przyrodą, lecz ją podpatruje i bada z dociekliwością myśliwego i przyrodnika. Dzięki temu potrafił przełożyć życie natury na język nowoczesny. Odkrył ją poetycko, towarzysząc w odkrywaniu świata małemu Tomaszowi, w języku prostym, trafnym i ważkim. Umiejętność widzenia i nazywania rzeczy, to sztuka pisarska.

Szkicowość techniki powieściowej Miłosza, niezbyt szczęśliwie zastosowana w „Zdobyciu władzy", w tym eposie przyrodniczym, jakim jest „Dolina Issy", wydaje się naturalna. Nie jest „Dolina Issy" wymyślną prozaiczną konstrukcją; przypomina raczej skrzynię ze sztukami ciężkich brokatów, adamaszków i chłopskich kilimów, przełożonych zasuszoną macierzanką i wrzosem.

Ludzie mało mówią w tej powieści. Odzywają się tylko w ostatecznej potrzebie krótkimi słowami, najwyżej półzdaniami lub przysłowiami. Dialog jest słabą stroną Miłosza. Niezrównanym mistrzem polszczyzny litewskiej jest jednak Józef Mackiewicz. Miłosz ucieka zatem od masy ludzkiej w głąb duszy. Zmierzch dworu i narodziny nowej epoki społecznej rzutuje na tło konfliktów moralnych.

Dochodzimy do sedna tej powieści. Od czasów Adama Mickiewicza pisarze polscy z Litwy ze szczególną gwałtownością i gorączką domagają się od Boga znaków Jego rządzenia światem. Jest w tym, być może, jakaś resztka pogańskiego animalizmu, który moce przyrody poczytywał za bóstwa. Bóg, to był żywioł w wyobraźni ludów pogańskich. Otóż i „Dolina Issy", pod powłoką niezrównanych opisów przyrody i z przyrodą zżytych ludzi i ich obyczajów, jest wołaniem i szukaniem Boga w znakach, wyzywaniem Go jako Stworzyciela, który dopuszcza przemoc, krzywdę i zło. Ta namiętność zbuntowanego chrześcijanina, pasja herezjarchy — bo nie bezbożnictwo — doprowadziła Miłosza do materializmu, i znowu kazała mu odeń odejść z rozpaczą. Nie można się oprzeć wrażeniu, że pisarstwo Miłosza jest wołaniem o prawdę, domaganiem się wyjaśnienia sensu życia, poszukiwaniem wyjścia z labiryntu powikłań ludzkich. Tkwi w tym mickiewiczowskie wyzwanie: „Ty walczysz na rozumy, ja walczę na serca". Miłosz nie pojmuje sensu cierpienia, a dla Syna Bożego, który umarł na krzyżu, ma zapewne tylko współczucie. Nie dostrzega w Ofierze Boskiej mądrości. Jego postacie tęsknią do Boga mściciela — ich krzywd, w pierwszym rzędzie. A w każdym razie odmawiają Mu ufności, jeśli nie ujrzą Jego ręki kierującej doczesnym światem. Taki pogląd możnaby nazwać materializmem chrześcijańskim, a Miłosza chrześcijańskim materialistą. Dobro i szczęście i sens życia powinny być jednoznaczne i na tym świecie wszystkim dostępne. Normą wszystkiego ma być doczesna sprawiedliwość. A Bóg powinien być sprawdzalny zmysłami.

Po cóż by wówczas istnieć miała ziemia, jeśli byśmy się od razu znaleźli w niebie? Dolina Issy i cała ziemia są tylko Bożą prowincją, oddaną w czasowy zarząd ludziom i nie Boga trzeba winić za ludzki porządek na ziemi. Zaś ułomność ciała jest stopniem do raju. I tak, z tym wszystkim, wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie. Wśród tych darów jest dolina Issy na ziemi i w książce Miłosza.

J. B.

---

*) **Czesław Miłosz DOLINA ISSY. Instytut Literacki, Paryż 1955. Stron 196.**

Druk staranny. Korekta albo niedbała, albo rewolucyjna, wywracająca obowiązującą ortografię do góry nogami, zwłaszcza w zakresie interpunkcji.

SYLWETKI POLSKIEJ EMIGRACJI

PROF. TADEUSZ ROMER

Niedawno bawił w Wielkiej Brytanii prof. Tadeusz Romer z Uniwersytetu Mc Gill w Montrealu, odwiedzając po siedmiu latach po raz pierwszy Europę, którą opuścił, aby osiedlić się w Kanadzie. Korzystając z pobytu prof. Romera w Londynie, zwróciliśmy się do niego z prośbą o interesujące wszystkich Polaków informacje, dotyczące zarówno jego obecnej pracy jak i w ogóle rodaków naszych w Kanadzie. Za udzielenie tych informacji bardzo serdecznie prof. Romerowi dziękujemy.

Czytelnikom naszym pragniemy przypomnieć, iż prof. T. Romer, który ma za sobą bez mała 30 lat służby dyplomatycznej, był ambasadorem R. P. w Moskwie od października 1942 roku do maja 1943, kiedy to Sowiety, po ujawnieniu zbrodni katyńskiej, zerwały stosunki z rządem polskim w Londynie. Przybywszy do Anglii objął w lipcu 1943 tekę ministra spraw zagranicznych w gabinecie St. Mikołajczyka i pozostawał na tym stanowisku aż do listopada 1944, a więc w okresie ściśle tragicznym, kiedy to kierownicy mocarstw zachodnich zlekceważyli piękne hasła, jakimi podtrzymywali pobożnie wolności narody, a wysiłki polskie zmierzać mogły już tylko do tego, by zaprzedanego narodu nie obciążano odpowiedzialnością za jego własną niedolę. Ten okres pracy przypłacił min. Romer ciężką chorobą serca, a po powrocie do zdrowia poświęcił się akcji charytatywnej, współpracując z Londynu z krajową centralą „Caritas", na której czele stał wówczas kardynał Sapieha. Pracował również jako członek Komitetu Oświaty dla Polaków w Wielkiej Brytanii.

W r. 1948 otrzymał min. Romer zaproszenie do objęcia pracy na Uniwersytecie Mc Gill w Montrealu, w Kanadzie, gdzie napływ zdemobilizowanej młodzieży, zwanej tam „weteranami", wywołał duże zapotrzebowanie sił naukowych na wyższych uczelniach.

„Oczywiście to nagłe przerzucenie się po tylu latach pracy w dyplomacji do zupełnie innego zawodu nie odbyło się bez trudności i wielkiego wysiłku osobistego" — stwierdza dziś prof. Romer. Ale gruntowna znajomość języka francuskiego oraz zainteresowania literaturą i kulturą francuską w czasie prawno-politycznych i społecznych studiów w Lozannie i Fryburgu, jak i w niemałej mierze okoliczność, że dyplomacja była przecież sztuką przystosowywania się — wszystko to ułatwiło min. Romerowi objęcie lektoratu języka, literatury i cywilizacji francuskiej w departamencie języków romańskich Uniwersytetu Mc Gill w Montrealu. Dział francuski jest tam największy, a Tadeusz Romer jest w nim od roku regularnym profesorem, nawiasem mówiąc jedynym nie-Francuzem wśród 10 wykładowców. Ostatnio objął prof. Romer również stanowisko administracyjnego zastępcy dyrektora tego departamentu.

W Kanadzie, jak w ogóle w całej Ameryce, ocenia się wartość pracownika, również i naukowego, według rezultatów jego pracy i korzyści, jakie ona przynosi instytucji czy przedsiębiorstwu, w którym pracuje. Na uniwersytecie obok wiedzy i wyników pracy pedagogicznej ceni się umiejętność współpracy z innymi profesorami oraz popularność wykładowcy wśród młodzieży, co wpływa na frekwencję, a więc i na opłacalność zakładów naukowych.

W Montrealu istnieją dwa uniwersytety: starszy, prywatny, uniwersytet języka angielskiego Mc Gill i nowszy — prowincjonalny katolicki, języka francuskiego Université de Montréal. Uniwersytet Mc Gill liczy obecnie około 7 tysięcy studentów oraz drugie tyle słuchaczy na rozmaitego rodzaju kursach wieczorowych. Wobec znacznego przyrostu młodzieży w szkołach średnich przewiduje się, iż w ciągu kilku następnych lat ilość studentów na uniwersytetach amerykańskich i kanadyjskich wzrośnie o 50%, co otworzy nowe możliwości pracy dla wielu młodych sił naukowych. (Również i dla Polaków. — Przyp. Red.)

Młodzież studiująca w Kanadzie pochodzi z wielu krajów; prof. Romer miał na jednej serii swych wykładów studentów 32 różnych narodowości. Prawie połowę wszystkich studiujących stanowią kobiety. Zainteresowanie kulturą krajów obcych jest duże, nawet u studiujących nauki ścisłe i techniczne, ich programy zresztą przewidują zazwyczaj naukę jednego z języków obcych a w związku z tym słuchanie wykładów o literaturze i kulturze danego kraju.

System długich wakacyj, trwających prawie 5 miesięcy, pozwala studentom na pracę zarobkową, w czasie której zbierają środki materialne na swe studia. Młodzież najzdolniejsza i najbardziej pracowita może liczyć na stypendia, ale praca wakacyjna opędza potrzeby znacznej większości.

Na pytanie o młodzież polską studiującą w Kanadzie prof. Romer wyraźnie się ożywia, gdyż problem ten szczególnie go interesuje.

Studentów Polaków można podzielić na dwie kategorie. Jedni, to potomkowie dawnej emigracji, obywatele kanadyjscy pochodzenia polskiego, którzy pod wpływem wydarzeń a nieraz i kontaktu z naszą emigracją wojenną i powojenną garną się do polskich wartości kulturalnych i tradycyjnych, a nawet uczą się ponownie języka polskiego, o ile go zapomnieli. Ludzie ci po ukończeniu studiów zasilają głównie zawody wolne i stanowią cenny społecznie i narodowo a materialnie niezależny czynnik w życiu społeczeństwa kanadyjskiego.

Drudzy — to młodzież uchodźcza z nowej emigracji, która bądź kończy kiedyś zaczęte studia, bądź zaczyna nowe. Młodzież tę cechuje, na skutek jej przeżyć, większe z reguły wyrobienie, obrotność oraz znajomość świata i języków obcych. Polacy uczą się łatwo i dobrze i zarówno w szkołach średnich jak i na uniwersytetach osiągają na ogół doskonałe wyniki. W niedość licznych jak dotychczas wypadkach otrzymują oni stypendia ze Skarbu Narodowego w Kanadzie lub od Kongresu Polonii Kanadyjskiej czy też innych polskich organizacji społecznych.

Obecnie na Uniwersytecie Mc Gill studiuje około 60 Polaków, na Université de Montréal ponad setka. Na obu tych uczelniach młodzież polska posiada swe organizacje studenckie, które żywo i pożytecznie działają na polu kulturalnym.

Z kolei pytamy prof. Romera o polskie siły naukowe na uniwersytetach kanadyjskich.

Niewiele jest dziś chyba wyższych uczelni w Ameryce, mówi Profesor, na których nie pracowałaby jakaś polska lub z Polską tak czy inaczej związana siła naukowa.

I tak dowiadujemy się, że na Uniwersytecie Mc Gil szczególnym uznaniem cieszy się znany polski geograf prof. Bogdan Zaborski. Wybitnym uczonym jest lekarz dr Olszewski, specjalista w zakresie anatomii mózgu, pracujący w instytucie neurologicznym pod kierunkiem światowej sławy prof. Penfielda.

Na Université de Montréal istnieje Centrum Studiów Slawistycznych, na którego czele stoi prof. Domaradzki, a które w dziale polonistyki zatrudnia szereg polskich sił naukowych. Centrum to liczy obecnie około dwustu studentów.

Znaną w Kanadzie postacią jest lekarz dr Szyryński, profesor uniwersytetu w Ottawie, specjalista z zakresu psychopatologii i psychiatrii dzieci. Jest on zarazem jednym z kierowniczych działaczy w harcerstwie polskim na terenie tego kraju.

Polscy uczeni skupiają się w kanadyjskim oddziale Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, którego centrala znajduje się w Nowym Jorku i na którego czele stoi prof. O. Halecki. Oddziałem Instytutu w Kanadzie kieruje obecnie prof. Zaborski. Instytut, do którego należy też szereg uczonych obcych, przejawia swą działalność w postaci zebrań naukowych, odczytów publicznych o charakterze naukowym lub popularyzatorskim oraz inicjatyw kulturalnych np. ostatnio związanych ze stuleciem śmierci Mickiewicza. Posiada bibliotekę z cennym księgozbiorem, wypożyczalnię książek i czytelnię czasopism. Instytut prowadzi ewidencję polskich naukowców i kwalifikuje stypendystów.

Polskie życie organizacyjne w Kanadzie jest bardzo ożywione. Obok zasłużonych narodowo i społecznie i posiadających piękne siedziby organizacyj i stowarzyszeń emigracji starej, opartych głównie na zachodzie kraju o bez mała 50 polskich parafij i mających nieraz charakter samopomocowy, powstały liczne organizacje emigracji nowej. Najbardziej rozgałęzione na tym terenie jest SPK; liczne i czynne jest Stowarzyszenie Polskich Inżynierów i Techników w Kanadzie. Wszystkie placówki polskiego życia społecznego i kulturalnego a nieraz i zawodowego skupione są w naczelnym organie koordynującym i reprezentującym polskość w Kanadzie którym jest Kongres Polonii Kanadyjskiej. Zainteresowanie problemami wewnętrzno-politycznymi polskimi maleje i spory na ich tle nie są groźne, natomiast o wiele groźniejszym następstwem wydarzeń są zarysowujące się zniechęcenie i apatia.

Podjęte usilne starania o wciągnięcie do pracy społecznej ludzi dotychczas nie zorganizowanych dają wyniki wcale pomyślne.

Prawdziwym oczkiem w głowie wielu polskich organizacyj są od lat kilku polskie szkoły sobotnie na poziomie przedszkola, szkoły powszechne i nawet średnie, w których uczą polskie siły fachowe. Szkoły nieraz cieszą się poparciem władz miejscowych. Jedyne w Kanadzie polskie gimnazjum istnieje w Toronto, pracując dzięki poparciu Kongresu Polonii Kanadyjskiej i przy pomocy Skarbu Narodowego.

Prof. Romer stwierdza, że praca uniwersytecka pozostawia mu nieco swobodnego czasu na pracę społeczną. Tak więc np. jest on od sześciu lat przewodniczącym istniejącego od 1940 roku Stowarzyszenia Polskich Imigrantów Wojennych, które skupia głównie inteligencję polską w Montrealu i rozwija bardzo ożywioną działalność w różnych dziedzinach. Bierze też czynny udział w pracach miejscowego Koła PKSU „Veritas", do którego należą głównie seniorzy. Drugie Koło „Veritasu" istnieje w Toronto i skupia zwłaszcza młodzież studiującą.

Prof. Romer kończy rozmowę zapewnieniem, że tygodnik nasz jak i inne wydawnictwa Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas" cieszą się coraz większym zainteresowaniem wśród Polaków w Kanadzie, gdzie są rozpowszechniane i chętnie czytane. Wyrażając swą radość z tego powodu, korzysta z tej sposobności, aby przekazać wszystkim Czytelnikom naszego pisma serdeczne pozdrowienia od rodaków w Kanadzie.

J. Cz.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

NOWA KSIĄŻKA O CONRADZIE

Postać i twórczość Józefa Conrada-Korzeniowskiego nie przestaje interesować angielskich krytyków literackich i pisarzy w ogóle. Nie ma roku, by nie ukazała się jakaś książka, bądź przynajmniej studium czy essay o Conradzie. Nie wszystkie są na wysokim poziomie; niektóre nie zasługują na uwagę. Ale bywają i pozycje niezwykle cenne, jak książka F. R. Leavisa „The Great Tradition" (wydana w r. 1950), której znaczna część poświęcona jest twórczości Conrada, albo świetny essay lorda Davida Cecila, ogłoszony rok temu w „London Magazine". Bardzo piękny hołd życiu i twórczości Conrada złożył przedtem Bertrand Russell w audycji radiowej, która ukazała się na łamach tygodnika „The Listener".

Przybyła obecnie pozycja nowa, interesująca pod wielu względami. Jest nią książka E. H. Visiaka „The Mirror of Conrad", wydana nakładem firmy Werner Laurie i przyozdobiona reprodukcjami podobizn Conrada, jego rodziców i statków, na których pełnił służbę (cena 16 szyl.).

P. Visiak jest autorem kilku zbiorów poezji, kilku powieści oraz studiów o Miltonie. Z objaśnień na obwolucie dowiadujemy się, że studiował twórczość Conrada od lat pięćdziesięciu i że jej krytyczne omówienia, ogłoszone jeszcze za życia Conrada, przyjęte były przez niego z uznaniem.

Książka jego — to krótki szkic „Conrad w Lowestoft", cztery essaye: „W Rosji i w Polsce", „We Francji", „Tragedia Conrada", „Różne podróże", w których dane biograficzne ilustrowane są wypisami i wyjątkami z dzieł Conrada mających, w mniejszym lub większym stopniu charakter autobiograficzny (jak zwłaszcza „Wspomnienia osobiste", „Zwierciadło morza" i „Złota strzała"). Visiak, jak wynika z jego przedmowy, specjalnie wysoko ceni pracę Megróza „Joseph Conrad's Mind and Method" i nawet pomysł tytułu swej książki wziął od Megróza. Megróz napisał w swym studium, że opowiadania Conrada są „fragmentami jego biografii duchowej" i że studiując je patrzyć można „nie w zwierciadło morza", ale w zwierciadło twórczej duszy artysty". Stąd tytuł książki: „Zwierciadło Conrada".

Visak stwierdza, że w umysłowości Conrada „wyobraźnia i pamięć były właściwie ściśle połączone i działały razem metabolicznie; w i d z i a ł on, p a m i ę t a ł i i m a g i n o w a ł. Jest tylko jeden podobny wypadek. Milton wchłaniał drogą pamięci, przeobrażał przez selekcję i przerabiał w sposób poetycki to, co czytał; nie wymyślał sam niczego. Materiał mnemoniczny Conrada stworzony został przez doświadczenia wczesnego i średniego okresu jego życia".

Autor książki w jednym tylko miejscu szerzej porusza zagadnienie stosunku Conrada do Polski, już po opuszczeniu przez niego kraju — tam, gdzie pisze o nacisku, jaki nań wywierał wuj Tadeusz Bobrowski, by przyjął obywatelstwo brytyjskie. Conrad zwlekał z tym niezwykle długo, zdaniem Visiaka z przyczyn natury patriotycznej.

„Conradowi, nim opuścił Polskę, by puścić się na fale międzynarodowego oceanu, mówiono, że jest dezerterem ze swego kraju i ten potępiający zarzut, wypowiadany niby anatema rzucana od ołtarza, głęboko zapadł w jego młodzieńczy umysł. Podniecenie, a później wysiłki i trudy życia powstrzymywały go od zatrzymywania się nad tymi sprawami, ale wrażenie, jakie ów zarzut wywarł, było trwałe, choć ukryte; obecnie... wyszło na powierzchnię pod wpływem listu wuja o naturalizacji i Conrad w stanie wrażliwości sumienia tak niezwykłej, jak u jego „kreacyj": dr Monyghama, Heista, Falka i lorda Jima, myślał następująco: Jeśli nawet rozmyślnie nie porzuciłem mego kraju, to przecież jestem winny, gdyż bardzo byłem zadowolony, że się z niego wydostałem. Opuściłem go, ponieważ był bez nadziei, niezdolny do odżycia, jak wrek na mieliźnie. Porzucanie jednak swego kraju w nieszczęściu jest godne pogardy. Wyrzekać się swego kraju przez naturalizowanie się w innym byłoby prawdziwą dezercją, nikczemną zdradą; co więcej byłoby wierutną hipokryzją; oznaczałoby, że się nie jest członkiem ani jednego ani drugiego narodu, że jest się okropnym hermafrodytą; nie można zmieniać swego kraju, podobnie jak nie można zmienić swego ojca lub matki, kraj ten jest bowiem **ojczyzną.**"

Ten ustęp książki Visiaka ma charakter pozornie absurdalny, gdyż w omawianym wypadku chodziło nie o porzucenie obywatelstwa polskiego, ale rosyjskiego, a Rosję Conrad uważał za największego wroga Polski. A jednak w uwadze Visiaka może być sporo prawdy; młody Conrad mógł mieć wątpliwości co do zrywania nawet takich węzłów wspólnoty losów, jakie łączyły go z bliskimi mu ludźmi w kraju i wielką częścią narodu polskiego.

Visiak niewątpliwie słusznie widzi w psychice takich bohaterów conradowskich jak dr Monygham, Heist, Falk i lord Jim odbicie myśli i uczuć, które w samym Conradzie były czynne tak silnie aż do końca życia. Szkoda jednak, że zagadnienia tego nie omówił szerzej; książka jego obejmuje zresztą tylko okres do końca służby Conrada w marynarce handlowej brytyjskiej, nie zajmuje się zaś dalszymi jego kolejami życia, kiedy poświęcał się pracy pisarskiej.

Między stroną 224 a 225 książki znajduje się facsimile listu Conrada do Visiaka, datowanego z Bishopsbourne w Kencie, dnia 29 stycznia 1924 roku. Conrad najwyraźniej odpowiada na prośbę o stwierdzenie, do którego ze swych dzieł jest najbardziej przywiązany, — i odpowiada odmownie, wcale zresztą szeroko to uzasadniając.

„Pisanie opowiadań — replikuje Conrad — jest, przynajmniej jeśli chodzi o mnie, narzędziem ekspresji artystycznej. Upodobania człowieka, który napisał sporą ilość stron tego, co uważa za prozę personalną, nie powinno być ujawniane wobec publiczności, z tego, między innymi powodu, że publiczność by ich nie rozumiała. Człowiek może lubić któreś ze swych dzieł specjalnie z powodu pewnych skojarzeń danego czasu. Może to dzieło lubić, ponieważ uważa w swym sumieniu, że w nim właśnie osiągnął największe zbliżenie do swych zamierzeń artystycznych, albo też wyraził swe idee z największą jasnością, albo że osiągnął największą szczerość uczucia, albo też po prostu potrafił uzyskać największy stopień plastyczności czy właściwego odmalowania atmosfery. Jakże zaś można uczynić te rzeczy zrozumiałymi publiczności, która często nie potrafił pojąć nawet głównej „pointy" całej kompozycji?

„Następnie, niech Pan pozwoli mi to podkreślić, jest to sprawa prywatna. Jest ona taką wybitnie i słusznie. Dlaczegóż bowiem człowieka, który spogląda na swe dzieła jako na całość, ma się publicznie prosić, by wyrywał z nich jedną z części i w ten sposób w pewnym sensie redukował całą resztę do poziomu drugiej klasy w oczach świata; lub, by wystawiał się na uwagi, że jako autor nie zna sam tego, czego dokonał? Jest to tak, jakby się go prosiło o świadectwo głupoty."

W zakończeniu tego listu, ogłoszonego teraz drukiem po raz pierwszy, Conrad pisze:

„Jeśli chodzi o Pana samego, to może nie będzie dla Pana niespodzianką usłyszeć, że istnieją strony i krótkie ustępy w mych pismach, o których myślę ze szczególnym upodobaniem, satysfakcją i może z pewną dumą. Ale nawet w obliczu Pańskiej inteligentnej sympatii powstrzymam się od wyszczególniania ich. Pragnę mieć nadzieję, że nie będzie się Pan na mnie gniewał za tę rezerwę, która nie jst sprawą roztropności, ale głębszego odczuwania."

Jak widać z tego listu, Conrad był wrogiem ankiet i publicznych wynurzeń. To, co chciał powiedzieć o sobie, mówił w swych dziełach — a mówił dużo.

B. P.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 16 października 1955.

NASZE SPRAWY

KŁAMSTWO

Motto:

„Le mensonge est notre prince; rien ne sera fait tant qu'il n'aura pas été démasqué et détrôné. A le combattre activement, même sans espoir... il peut y avoir plus d'héroisme et de sainteté qu'à lutter contre l'iniquité et la misère... C'est donc surtout pour l'historien de l'avenir que nous écrivons, pour qu'il ne soit pas dupe de la prodigieuse entreprise de mensonge et de chantage par le mensonge qui déshonore notre patrie et notre temps". (Kłamstwo jest naszym władcą; niczego się nie osiągnie, dopóki się go nie zdetronizuje i nie zdemaskuje. By je czynnie zwalczać nawet bez nadziei, potrzeba być może więcej bohaterstwa i świętości, niż do walki z niesprawiedliwością i nędzą... Toteż piszemy przede wszystkim dla historyka przyszłości, po to, by się nie stał ofiarą zadziwiającego przedsięwzięcia, jakim jest kłamstwo i szantaż przy pomocy kłamstwa, które są hańbą naszej ojczyzny i naszej epoki.

(Francuski miesięcznik prawicowy „Ecrits de Paris", numer wrześniowy)

Jednym z najsmutniejszych i najbardziej rujnujących naszą cywilizację rysów dzisiejszej epoki jest rozpanoszenie kłamstwa.

Główną przyczyną tego jest rozwój techniki rozpowszechniania wiadomości i w związku z tym zmobilizowanie tej techniki w ręku niewielkiej grupy sił uprzywilejowanych: rządów, najpotężniejszych stronnictw i wielkiego kapitału.

W czasach, gdy się książki i gazety składało ręcznie, niemal każdą grupę ludzi, wyznających jakiś odrębny punkt widzenia, lub broniących jakiejś pokrzywdzonej prawdy, było stać na kupienie sobie drukarenki, zatrudniającej jednego zecera, lub na wejście z taką drukarenką w stosunki handlowe — i na rozpoczęcie wydawania pisma codziennego. Świat roił się wtedy od małych pisemek codziennych, nieraz wychodzących w małych miasteczkach, wydawanych w nakładzie paru tysięcy egzemplarzy, reprezentujących żywą, naprawdę niezależną opinię publiczną, prowadzących może naiwne, ale jakże żywe i gorące polemiki, omawiających sprawy lokalne, walczących o interesy realnego, żywego człowieka. Dzisiaj — drukarstwo, zwłaszcza jeśli idzie o prasę codzienną, stało się wielkim przemysłem. Nowoczesne drukarnie są tak wielkimi i skomplikowanymi fabrykami, że „mały człowiek", czy mała grupa nie jest w stanie z nimi konkurować i musi ustąpić z pola.

W istocie — nigdzie na świecie nie ma dziś wolności prasy, jeśli idzie o prasę codzienną. Wolność ta istnieje tylko dla wielkich przedsiębiorstw prasowych — i dla tych, komu te przedsiębiorstwa pisać na swoich łamach pozwolą.

Ktoś kiedyś powiedział, że londyńska prasa codzienna jest klubem zamkniętym, do którego można się zapisać, wpłacając ileś tam milionów funtów szterlingów wpisowego. I to jest prawda. Proszę spróbować założyć w Londynie nowe angielskie pismo codzienne! Jest to niepodobieństwem — o ile się nie ma olbrzymich kapitałów. Olbrzymich kapitałów, których dużą część trzeba z miejsca wyrzucić w błoto na walkę konkurencyjną przedwstępną. Wszędzie gdzie indziej rzeczy wyglądają tak samo. Owo „wpisowe" w Nowym Jorku, w Paryżu, w Oslo, czy na Gwadelupie może wynosić więcej, albo mniej, ale istota sprawy jest wszędzie ta sama. Wolność założenia nowego pisma codziennego istnieje dziś w świecie tylko dla tych, co mają wielkie kapitały, to znaczy dla rządów i dla bogatych koncernów. Istnieje tylko w połowie świata. W drugiej połowie, po tamtej stronie żelaznej kurtyny, nawet tej wolności nie ma. Istnieje tam ona dla rządów wyłącznie.

Istnieje dziś w świecie monopol wydawania prasy codziennej sprawowany w każdym mieście i w każdym kraju przez niewielką tylko grupę powaśnionych, lub w zgodzie żyjących przedsiębiorstw wydawniczych. Szczęśliwe jeszcze są te miasta i te społeczności, w których istnieje kilka pism codziennych, i to takich, co się wzajemnie zwalczają! W walce tej rodzą się szczeliny, w których prawda ma dużo możności wydobycia się na wierzch. Tam, gdzie takiej walki nie ma, gdzie pisma codzienne są ze sobą w zgodzie, albo gdzie pismo jest tylko jedno, monopol jest zupełny. Równa się on w praktyce kneblowi na ustach tych, co inaczej myślą, niż dzierżyciele monopolu, albo co głoszą prawdę dla tych dzierżycieli niewygodną.

Monopol ten sprawowany jest z umiarem i dyskrecją, lub z nieumiarkowaniem, zależnie od osobistego poziomu moralnego danych osób i od ogólnego poziomu obyczajów życia publicznego i etyki dziennikarskiej w danym kraju, ale istnieje on wszędzie. Istnieje nawet w kraju o tak mocnych tradycjach wolności jak Anglia. Przypomnijmy sobie rok 1945! Pełna prawda o Rosji Sowieckiej, zarówno jak o Polsce, nie miała wówczas dostępu na łamy brytyjskiej prasy codziennej, lub miała dostęp tylko bardzo ograniczony. Miała ona swobodny dostęp tylko do pewnej kategorii tygodników, to znaczy tylko do odłamu opinii publicznej stosunkowo dość szczupłego liczebnie.

Obok prasy codziennej istnieją dziś i inne środki masowego wpływu, takie jak radio, telewizja, film. Jeśli działają one w tym samym kierunku — to wytwarzają zbiorową sugestię, której tylko najniezależniejsze umysły umieją się oprzeć. A wszak istnieją w niektórych krajach Ministerstwa Propagandy, specjalnie nad tym pracujące, by tę zbiorową sugestię pogłębić! Jakże trudno było jeszcze rok temu być w Argentynie antyperonistą, to znaczy nie tylko przeciwnikiem rządów Perona, ale i człowiekiem, rozumiejącym całą kłamliwość wszechstronnej, peronowskiej propagandy! Albo być antyhitlerowcem w Niemczech za czasów Hitlera; nie tylko przeciwnikiem politycznym reżymu, lecz tym, co rozumie bezczelną kłamliwość doktryn i twierdzeń hitlerowskich na temat Polski, na temat niemieckości Pomorza, na temat rasy nordyckiej, na temat Volk ohne Raum, na temat tego, że Treblinka jest miejscowością leczniczą, na temat tego, że Niemcy były zawsze przedmurzem Europy, na temat tego, że książę Lotaryński był przełożonym Sobieskiego w bitwie pod Wiedniem, na temat tego, że w sierpniu 1939 roku miała miejsce rzeź Niemców w Bydgoszczy...

Polska jest dziś w szponach aparatu komunistycznego, który stara się przerobić jej duszę przy pomocy zorganizowanego, a potężnego aparatu propagandy kłamstwa. Nie sądźmy, że to kłamstwo się w duszę nie sączy! Można być wrogiem komunizmu w założeniu, a wierzyć dziesiątkom, setkom, tysiącom komunistycznych kłamstw, gdy przychodzi do szczegółów i do praktyki.

Jednym z zadań nas tu, polskiej emigracji, jest przechowywać, oraz odnajdywać obchodzącą naród polski prawdę. Prawdę o polityce, prawdę o przeszłości historycznej dawnej i najświeższej, prawdę o życiu Polski, jej cywilizacji, jej strukturze społecznej, jej ekonomii, jej dorobku duchowym, jej życiu religijnym.

I my tu na emigracji też ulegamy pokusom tworzenia naszego własnego, emigracyjnego systemu kłamstwa. Albo kontynuowaniu systemu kłamstwa, jaki wytwarzał się w Polsce — nie bez przedwojennego nacisku — w czasach przedwojennych i jaki zaszczepiła w umysłach propaganda szkoły, prasy, polityki, wojska. Musimy się przed tymi pokusami obronić: bylibyśmy tylko „odwrotną stroną medalu" Polski komunistycznej, gdybyśmy kłamstwu komunistycznemu przeciwstawiali kłamstwo emigracyjne. Jednej propagandzie — drugą, równie fałszywą propagandę.

Zadaniem naszym jest stać na straży — polskiej prawdy.

Prawdy historycznej, politycznej, kulturalnej, moralnej, religijnej.

POLONUS

IV KONGRES TOMISTYCZNY W RZYMIE

IV Kongres Tomistyczny rozpoczął uroczyście swe prace w dniu 13 września od audiencji w Castel Gandolfo, gdzie Ojciec Święty przemówił do zebranych delegatów.

Nauka, metoda i zasady św. Tomasza — powiedział Papież — przewyższają wszystkie inne. Niewiele jest dzisiaj kwestii, które by nie mogły znaleźć rozwiązania i wyjaśnienia w świetle zasad św. Tomasza. Trzeba pamiętać, że uczciwe i głębokie studium problemów naukowych nie prowadzi do przeciwieństwa z zasadami wiecznej filozofii, przeciwnie z niej czerpie silne i bezustanne światło.

Mówiąc dalej o dzisiejszych odkryciach fizyki — dotyczących najgłębszej struktury materii, o energii atomowej, Papież podkreślił jak wielkie korzyści dać może użycie energii atomowej dla celów pokojowych, w przemyśle, w biologii, w chemii. To badanie natury może zrodzić perspektywy pokoju, jeśli wiara w Stwórcę i miłość do wszystkich ludzi będzie u fundamentów nadziei ludzkich. Bo tylko wzajemne zrozumienie i współpraca mogą zbudować wielki gmach wiedzy w zgodzie ze światłem Bożej mądrości.

Kongres został zorganizowany przez Akademię św. Tomasza w Rzymie z jej przewodniczącym kardynałem Pizzardo na czele.

Zgłoszono 103 referaty, z których 76 wydrukowano w dużym tomie jeszcze przez rozpoczęciem Kongresu.

Tematem Kongresu były trzy zagadnienia: 1) stosunek nauki św. Tomasza do prądów nowoczesnych, 2) do dialektyki Hegla i Marksa i 3) do egzystencjalizmu. Każde z tych trzech zagadnień było opracowane przez kilkudziesięciu specjalistów, którzy przekazali Kongresowi swoje relacje. Były one wydrukowane i rozdane delegatom.

W związku z zagadnieniem pierwszym, przy omawianiu ogromnych postępów wiedzy technicznej, Kongres uznał iż rezultaty nowych osiągnięć nauki mogą być (w dziedzinie filozofii) włączone w tradycyjną tezę, która uznaje rzeczywistość materialną złożoną z materii i formy (ileformizm). Trzeba odróżnić wiedzę prawdziwą od tych nauk, które nie przekroczyły pola prawdopodobieństwa.

Drugie zagadnienie, hegelianizmu i marksizmu, było przedmiotem szczególnego zainteresowania. Profesorowie, po żywej dyskusji, uznali wyższość nauki tomistycznej, która zmusza myśl do przyjęcia aktu czystego i przez to wyklucza wszelką formę ateizmu. Niektórzy mówcy podkreślali różnice między Heglem a św. Tomaszem, inni szukali pewnych punktów stycznych, pewnych zgodności. Wszyscy uznali niemożliwość uzgodnienia nauk św. Tomasza z Heglem (zbyt wiele bowiem jest u Hegla błędów bardzo niebezpiecznych). O. Garrigou-Lagrange, znany dominikanin, głosił, że u Hegla prawem fundamentalnym rzeczywistości jest sprzeczność. O. Spiazzi podkreślał, że między Marksem a św. Tomaszem są nieprzezwyciężalne antytezy. U Marksa tezą jest afirmacja konieczności walki, u św. Tomasza zaś ideał harmonii i pokoju między obywatelami. W pojęciu Marksa antynomia klas jest nieprzezwyciężalna, przeciwnie u św. Tomasza, klasy są członkami społeczności, których przeznaczeniem jest współpraca nad jednością socjalną.

W sprawie zagadnienia trzeciego, tj. stosunku filozofii tomistycznej do egzystencjalizmu wyłoniła się opinia, iż filozofia tomistyczna ma pewne przewidywania i rozwiązania zagadnień filozofii egzystencjalnej. Delegaci Kongresu podkreślali starą zasadę uznania jednostek i praw ogólnych, ale dopuszczali możliwość pewnego kontaktu z egzystencjalizmem, po odrzuceniu jego zasadniczych błędów.

Najżywszy udział w pracach Kongresu brali jezuici i dominikanie, jezuici jednak przewyższali dominikanów ilością, co się tłumaczy faktem, że jest ich o wiele więcej na świecie. Oni więc — jak pisze „d'Italia" — są przeznaczeni do wzięcia na siebie zadania oświetlenia, rozwoju i szerzenia nauki św. Tomasza.

W dniu 17 września zamknięto obrady w obecności kardynała Pizzardo. Po licznych pożegnalnych przemówieniach delegatów uniwersytetów, przemawiał Sekretarz Generalny Kongresu o. Boyer, przedstawiając wyniki Kongresu i podkreślając zainteresowanie, jakie Kongres wzbudził w świecie nauki i w prasie. O. Boyer wspomniał z najwyższą wdzięcznością treść wspaniałego przemówienia Ojca św., które natchnęło delegatów do tak żywego udziału w dyskusjach.

O doniosłych wynikach Kongresu mówił także na zakończenie kardynał Pizzardo wyrażając radość, że obrady Kongresu stwierdziły, że św. Tomasz jest prawdziwie wielkim Doktorem Kościoła, wspólnym dla szkół katolickich, pewnym przewodnikiem studiów. Kard. Pizzardo prosił uczestników Kongresu, aby rozjechawszy się krzewili w swoich środowiskach światło nauki św. Tomasza.

W Kongresie brali udział delegaci z około 80 uniwersytetów świata. Ze zgłoszonych delegatów nie przybyli tylko delegaci z Argentyny i z Polski. Zgłosili swój przyjazd i księża z Warszawy. Jeden z nich pisał prywatnie do Sekretarza Kongresu oznajmiając, że czterej księża polscy starają się o przyjazd, choć nie są jeszcze pewni, czy otrzymają wizy. Inny pisał do Instytutu Polskiego prosząc o zarezerwowanie mieszkania. W dniu otwarcia Kongresu nie stawili się jednak. Widocznie odmówiono im wizy. Prezydium Kongresu otrzymało tylko z Warszawy depeszę, w której Uniwersytet Warszawski składa życzenia Kongresowi. Depeszę podpisali księża: Chojnacki, Kwiatkowski i Seweryn Kowalski.

S. J.

—*—

KONCERT MAYI BLACK

W sobotę, dnia 22 bm. o godz. 3 po południu odbędzie się w Wigmore Hall w Londynie recital fortepianowy Mayi Black. W programie Bach, Beethoven, Chopin i Schumann.

Maya Black jest córką słynnego rzeźbiarza, współtwórcy pomnika grunwaldzkiego w Krakowie, Franciszka Blacka, żyjącego od wielu lat we Francji. Był on osobistym przyjacielem Paderewskiego i mieszkał przez długie lata w jego domu w Morges.

Wówczas to, będąc jeszcze dzieckiem, Maya Blackówna pobierała lekcje fortepianu od Paderewskiego, który odkrył w niej duży talent. Ukończyła potem Szkołę Muzyczną w Paryżu pod kierunkiem Cortota i Izydora Philipp'a. Do tej pory panna Blackówna dawała koncerty we Francji, Szwajcarii, we Włoszech i Holandii, ale pierwszy jej publiczny występ na terenie Anglii będzie miał miejsce dopiero za tydzień w Wigmore Hall.

Wigmore Hall, jak wiadomo, jest salą, która decyduje zwykle o dalszej karierze muzycznej. Miejmy nadzieję, że wielki egzamin naszej rodaczki zakończy się powodzeniem.

WYSTAWA RZEŹB MARKA SZWARCA

W Instytucie Francuskim w Londynie (Queensbury Place, S. W. 7) odbywa się wystawa rzeźb, litografij, tkanin i rysunków Marka Szwarca, znanego i cenionego, zwłaszcza we Francji, artysty polskiego.

Szwarc służył w Polskich Siłach Zbrojnych w czasie ostatniej wojny. Jest on przyjacielem J. Maritaina, pod którego wpływem przyjął wiarę katolicką.

Wystawa potrwa do dnia 30 bm. Patronuje jej ambasador Francji.

FELIKS BOHDANOWICZ 4)

Z ZAGADNIEŃ WSPÓŁCZESNEJ PSYCHOLOGII

SNY W ŚWIETLE PSYCHOANALIZY

Jung szuka rozwiązania, zadając pytanie, jaki jest cel tego snu? Odpowiedź na to wymagała bardzo wnikliwego zbadania sytuacji na tle wzajemnych stosunków między ojcem a synem, które, jak wspomnieliśmy, były bardzo dobre. W wyniku badań Jung stwierdził, że były one za dobre, a mianowicie, że syn znajdował się całkowicie pod wpływem ojca. Życie młodzieńca pod opiekuńczymi skrzydłami ojca było pozbawione samodzielności i uniemożliwiało mu wyrobienie własnej osobowości. Psyche ludzka dąży do wszechstronnego rozwoju, do osiągnięcia możliwej pełni osobowości. Na braki w tym kierunku reaguje nieświadomość w sposób spontaniczny — i jak w danym wypadku — dość brutalny, przeciwdziałając bezkrytycznemu uwielbianiu ojca i sugerując możność katastrofalnego dla rozwoju osobowości wyniku.

W wypadkach dotyczących istotnych dla człowieka a lekceważonych przez świadomość zagadnień reakcja nieświadomości — instynktowna w swym charakterze — może być gwałtowna i przybrać formy neuroz lub psychoz — analogicznie jak zbawienna w założeniu reakcja organizmu na jakieś zaburzenia może spowodować śmierć (np. reakcja w formie silnej gorączki przy słabym sercu). Psychoanalitycy podkreślają wielkie podobieństwo między marzeniami sennymi a stanami psychopatologicznymi, jako przejawami jednej i tej samej nieświadomości. Wnikliwe badania treści pozornie nielogicznych i absurdalnych wypowiedzi umysłowo chorych, łącznie z badaniami ich marzeń sennych, pozwalają psychoanalitykom wykryć przyczynę zaburzeń i umożliwić leczenie. Wypowiedzi psychicznie chorych — to nieraz SOS, wysyłane z głębi nieświadomości ze wskazaniem miejsca katastrofy, lecz zaszyfrowane przy pomocy kodu symbolów — jako jedynego możliwego sposobu porozumienia się między świadomością a nieświadomością (por. „Symbolika a formalizm w religii" — ŻYCIE nr 346).

Ujęcie przez szkołę zurychską marzeń sennych z punktu widzenia ich celowości rozszerzyło i pogłębiło zagadnienie interpretacji. Jung widzi w sennych marzeniach odbicie nieskończenie zróżniczkowanych sytuacji psychologicznych. Różnorodność ta spowodowała potrzebę wprowadzenia pewnej klasyfikacji snów.

Najczęstszym typem snów według Junga — to sny o charakterze kompensacyjnym; mają one na celu zwrócenie uwagi na pewne braki w postawie świadomej: niedocenienie czy opuszczenie w stanie czuwania pewnych zagadnień i aspektów, których uwzględnienie jest potrzebne do osiągnięcia optimum życiowego. Są one normalnym przejawem normalnego stanu psychicznego.

Gdy jednak postawa świadoma staje się zbyt krańcową i jednostronną, niedostosowaną do rzeczywistości, do wymagań istoty natury ludzkiej, senne marzenia nabierają charakteru funkcji przewidującej i kierowniczej. Stają się antycypacją przyszłej działalności świadomej. Ich symboliczna treść zawiera w sobie również i sposób rozwiązania konfliktu, jaki powstał między świadomością a nieświadomością. Do tej kategorii można zaliczyć omówione wyżej dwa przykłady snów. Warto w tym miejscu przypomnieć niezwykle ciekawy sen, „Sen w Dreźnie" Mickiewicza, poprzedzający wybuch Improwizacji. Sen ten zawierał równocześnie i ideę kierowniczą i rozwiązanie konfliktu, które znalazły swój wyraz w trzeciej części „Dziadów". Tego typu marzeń sennych nie należy utożsamiać ze snami proroczymi, stanowiącymi odrębną kategorię, podobnież jak i sny telepatyczne. Sny przewidujące mają raczej charakter prognozy (jak prognoza lekarska czy meteorologiczna). Nieświadomość, jak twierdzi Jung, jest w dużo lepszej sytuacji niż świadomość, jeśli chodzi o przewidywanie przyszłych wypadków, gdyż poza swą treścią czysto indywidualną, posiada również i przekazane od prawieków doświadczenia przodków (zasługą Junga jest wyodrębnienie tej najbardziej mrocznej głębi warstwy nieświadomości, przechowującej w sobie przeszłość, siedlisko ogólnoludzkich mitów i praobrazów-symbolów; senne marzenia, wywodzące się z tych najgłębszych pokładów psyche są rzadkie, lecz niezwykle ciekawe i brzemienne treścią).

Jung stwierdza, że im bardziej postawa świadoma odbiega od swej normy, tym sny prognostyczne stają się mocniejsze i wyrazistsze, a szczególnie, gdy poprzedzają wybuch choroby psychicznej— tej ultima ratio nieświadomości (Jung i jego szkoła stanowczo odrzucają tezę, jakoby choroby psychiczne miały swe źródło w schorzeniach mózgu, twierdzenie, które zahamowało na długi okres czasu rozwój psychoterapii).

Każdy sen przerywa ciągłość świadomości. Jest to korzystne, zwłaszcza przy silnych, emocjonujących przeżyciach na jawie. Sny bowiem przy pomocy marzeń o treści nie związanej z tymi przeżyciami starają się wywołać odprężenie psychiczne. Ma to jednak miejsce przy ogólnym normalnym stanie psychicznym. Tym się na przykład według Junga tłumaczy fakt, że zakochani nie śnią wzajemnie o sobie, a żołnierzom na froncie śnią się nie bitwy, lecz domowe ogniska. Gdy jednak wskutek dłuższego pobytu na froncie, żołnierze zaczynają śnić o walkach, jest to oznaką zakłócenia równowagi psychicznej, wymagającego odesłania walczących na tyły na odpoczynek.

Inny typ snów, które są szczególnie częste w wyniku ostatnich przeżyć wojennych, to senne marzenia, powtarzające przeżycia z życia świadomego o silnym zabarwieniu afektownym. Są to sny o charakterze urazowym, pozostające w związku z nadwerężonym systemem nerwowym. Mają one prawdopodobnie charakter leczniczy, lecz przez zastosowanie niejako zasady terapii homeopatycznej (similia similibus curantur). W każdym bądź razie są one wyrazem ścisłego związku, jaki zachodzi między dziedzinami psychiczną a cielesną.

Zestawiając poglądy szkół wiedeńskiej i zurychskiej warto jeszcze przytoczyć odmienny pogląd Junga na samą strukturę snu. Według niego senne marzenie stanowi pewną całość przez to, że jego elementy wzajemnie się zazębiają i mogą być ugrupowane na podobieństwo dramatu klasycznego: z umiejscowieniem akcji w czasie i przestrzeni, z ekspozycją problemu marzenia, z jego treścią i tematem, z perypetiami, intrygą i rozwojem wydarzeń oraz z jego rozwiązaniem-konkluzją. Występujące dramatis personae są niczym innym, jak personifikacją własnych zawartości psychiki. Sen — jak powiada Jung — jest teatrem, w którym śniący jest zarazem sceną, aktorem, suflerem, reżyserem, autorem i krytykiem. Pijak, leżący w rynsztoku, o którym śni teolog, czy pojawiająca się w marzeniach sennych dystyngowanej damy rozwiązła ulicznica — to nie jest wcale sąsiad czy jakaś obca osoba, o których myślimy, z lubością mówiąc w duchu: „dzięki Ci, Boże, za to, że nie jestem jako ten oto..." Bowiem według zdania Junga interpretacja snu winna się odbywać w planie subiektywnym — to znaczy należy traktować występujące osoby jako uosobienie własnych treści psychicznych. Wyjątek stanowią te osoby, które są związane ścisłymi węzłami ze śniącym — należy je traktować jako istności konkretne (w planie obiektywnym). Ale i one występują zawsze w związku z jakąś aktualną sytuacją psychiczną śniącego.

Rozmyślanie o snach — mówi dalej Jung — jest równoznaczne z powrotem do siebie, do bardzo zbawiennego badania wnętrza swego „ja".

Freud (jak i Adler) uważał podziemie naszej psychiki za siedzibę demonicznych sił, stale grożących człowiekowi i niewolących jego świadomość. Jung zaś widzi w nieświadomości organizm naturalny, z którego aktywności mogą wypłynąć rzeczy dobre i złe, zależnie od postawy świadomej człowieka i jej zdolności asymilacyjnej. Wiemy, że na poważną część treści nieświadomości składają się czynniki usunięte z życia świadomego — a te mogą być zarówno dobre jak i złe — nie mówiąc już o zbawiennej roli kompensacji tkwiącej w nieświadomości i źródle energii psychicznej i twórczego natchnienia.

Ujmując ogólnie kontrowersyjne poglądy obu szkół w omawianym zagadnieniu, można stwierdzić, że teorie czy to Freuda czy Adlera grzeszą jednostronnością. Natomiast Jung nie neguje wagi ani erotyzmu ani egoizmu i zgadza się, że wiele przejawów psychicznych a więc i sennych marzeń da się wytłumaczyć kategoriami Freuda czy Adlera. Lecz odrzuca stanowczo stosowaną przez nich wyłączność. Jung twierdzi, że obok tych elementarnych instynktów istnieją równie wrodzone jak i one czynniki religijno-moralne, które w daleko wyższym stopniu nadają się do kierowania osobowością ludzką, a których zapoznanie pociąga za sobą katastrofalne skutki.

Dopiero przez uwzględnienie wszystkich tych czynników uzyskuje się daleko rozleglejsze horyzonty na całość rzeczywistości. To, co widzą Freud czy Adler ze swego okienka, jest jedynie wycinkiem rzeczywistości i jest słuszne w odniesieniu do zasięgu promienia ich widzenia. Lecz popełniają błąd, gdy zaczynają twierdzić, że cała rzeczywistość jest taką, jaką widzą na swym podwórku. Partykularyzm i zacieśnienie poglądów są wrogami prawdy, zaś wszechstronność i uniwersalizm są probierzem prawdziwości systemu. — I pomimo swej — pozornej zresztą — paradoksalności słusznym jest twierdzenie J. Serre'a: „Nie uzgadniam systemów, odrzucam tylko ich granice, a wtedy godzą się same. Wszystko zgadza się tam, gdzie niczego się nie wyłącza".

Pod tym zdaniem mógłby się podpisać i Jung.

Feliks Bohdanowicz

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. W P Ł A T Y a) w krajach bloku szterlingowego: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. C E N Y O G Ł O S Z E Ń: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i C E N A P R E N U M E R A T Y W R Ó Ż N Y C H K R A J A C H: **ARGENTYNA: „Libreria Polaca"**, Serrano 2076 piso I, Buenos Aires. **AUSTRALIA: „Vistula"** (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. **BELGIA: Mme E. Kułakowska**, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. **BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska Casa „Acao"**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. **Książnica Polska,** Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro, **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i **Mons. W. J. Slapa, Rua Marques de Abrantes 215**, Rio de Janeiro. **FRANCJA: ks. K. Stolarek, OMI**, 29 Av. Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, S. et M.), CC 5 603 40. Pren. kwart.: 540 fr. **HOLANDIA: B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. **KANADA: Canadian Mosaic Publishers,** Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. **International Book Service,** 57, Queen Str. W., Toronto **NIEMCY: St. Mikiciuk,** Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45 o r a z **„Informacja Prasowa"**, Postfach 86, (23) Quakenbrück, Prenumerata kwart. 8 RM. **NORWEGIA: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y., **Mme J. Stojanowska,** 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz **„Pomoc" — Eksport - Import,** 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. **SZWAJCARIA: Mgr. A Bocheński,** Case Postale 19, Fribourg 2. Pren. kwart. 5.00 frs. **SZWECJA: Mgr. B. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 kr. **WŁOCHY: Mme Z. Bułhak-Jelska,** via Salaria 300 C. Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.